PO 16681

Biblioteka Instytutu Morskiego w Gdańsku

Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI. Warszawa, 12 czerwca 1955 r. Nr 23 (497)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

CIV 9013

JULIUSZ DOMAŃSKI

ŁASKA, GRZECH, DZIEŁO

Zagadnienie społecznej funkcji wychowawczej katolicyzmu staje się ośrodkiem coraz bardziej ożywiającej się dyskusji wewnątrzkatolickiej. Jej punktem wyjścia muszą być, z natury rzeczy, rozważania teologiczne, oparte o gruntowną znajomość doktryny. Redakcja „Dziś i Jutro" wychodząc naprzeciw tej nurtującej w społeczności katolickiej potrzebie, przystępuje do drukowania cyklu artykułów podejmujących i rozwijających to zagadnienie, zapraszając równocześnie do jak najszerszego udziału świeckich i duchownych intelektualistów katolickich. Artykuł „Łaska, grzech, dzieło" jest pierwszym z cyklu.

Redakcja

STOSUNEK człowieka do Boga w chrześcijańskim rozumieniu tego słowa wyznaczają trzy fakty: Stworzenie, grzech pierworodny i Odkupienie. Wokół nich koncentruje się cały sens istnienia człowieka i świata. Pierwszy poucza o stwórczym akcie dobroci Bożej, powołującej do istnienia wszelką „naturę", każdy byt, który odtąd jest po to, by swoim istnieniem dawać świadectwo dobroci Stwórcy i głosić Jego chwałę zgodnie z ustalonym przez Stwórcę porządkiem, drugi ukazuje wyłamujący się z ustanowionego przez Boga porządku czyn człowieka i jego skutki, trzeci daje świadectwo powtórnemu aktowi dobroci i miłości Boga, który zechciał dać człowiekowi możność naprawienia popełnionego zła przez dobrowolny udział w przywróceniu porządku ustanowionego przez Stwórcę. Jak akt Stworzenia jest wyrazem nieskończonej dobroci Bożej, tak akt Odkupienia jest wyrazem miłości Bożej do świata: „Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny" (J. III. 16). Jak pierwszy został zakłócony przez człowieka, który źle użył danej mu od Boga wolności, tak drugi — o ile Bogu nie podoba się tu uczynić wyjątku — może być skuteczny również tylko pod warunkiem, że człowiek dobrowolnie podda się działaniu miłości Bożej do niego, wyrażającej się w tym darze Odkupienia i Uświęcenia, jakim jest łaska. *Qui fecit te sine te* — powiada św. Augustyn — *non iustificabit te sine te.*

O SENSIE istnienia Stworzenia stanowi chwała, jaką oddaje ono swemu Stwórcy. O jego wartości decyduje fakt, że w całości jest ono dziełem Boga. Księga Rodzaju mówiąc, że Bóg widział, iż dzieło Jego dobre jest (Rodz. I, 31), wyraża właściwym sobie, a dostatecznie ścisłym językiem ontologiczny optymizm obowiązujący odtąd każdego, a specjalnie tego, kto przyjmuje treść Objawienia. Zło, które stoi u progu dziejów świata, nie wynika ani z istnienia bytów złych, ponieważ takie w dziele Bożym nie istnieją, ani z hierarchii wartości bytów, ale z niewłaściwego wartościowania ich przez rozum i wolę człowieka, nieodpowiadającego obiektywnej ich wartości. Dotyczy to także i przede wszystkim najwyższych wartości stworzenia w zestawieniu ze Stwórcą. Pycha grzechu pierworodnego wyraziła się w tym, że człowiek pretendował do równości z Bogiem nie poprzestając na wyznaczonym mu przez Boga zadaniu panowania nad stworzeniem w sposób właściwy jego naturze.

Akt stwórczy Boga ustanowił bowiem człowieka panem niższych odeń stworzeń. „Napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną" (Rodz. I, 28) — to postanowienie Boże zawierało w sobie nie tylko wyznaczenie człowiekowi miejsca w hierarchii stworzeń, ale i wyznaczenie mu zadań; było to postanowienie ustalające nie jakiś statyczny *status quo*, dzięki któremu człowiek od razu stałby się panem podległych mu bytów, ale dynamiczny, ulegający ciągłemu rozwojowi i doskonaleniu stan stworzenia. Nie przekreślając optymalnej wartości swego dzieła Bóg dał ludziom zadanie wyzwolenia ze stworzenia wszystkich tkwiących w nim możliwości, aby tym lepiej świadczyło o chwale Stwórcy i tym lepiej służyło człowiekowi. Człowiek, czyniąc sobie poddanym wszelkie niższe od niego stworzenie, miał nie tylko sam doznawać z tego panowania korzyści, ale także udzielać mu blasku danego sobie przez Boga rozumu, tego ulubionego tworu Bożego. Świat miał być pięknym miejscem, gdzie stworzenie, w twórczym trudzie opanowywane i doskonalone rozumem człowieka, miało wielbić wraz z nim swego Stwórcę, swym istnieniem i rozwojem oraz pięknem, które pomnażać miał na chwałę Boga rozum ludzki, świadcząc o Jego dobroci i miłości.

Grzech pierworodny burząc harmonię, jaka istniała w stosunku człowieka z Bogiem, zaciążył nad człowiekiem i nad całym stworzeniem, ale nie przekreślił ani wartości stworzenia, ani planów, jakie w stosunku do niego wyznaczył człowiekowi Stwórca. Człowiekowi nie został odebrany ani rozum, będący narzędziem wykonania planów Stwórcy, ani zadanie realizowania tych planów w stosunku do stworzenia. Stwórca nie zniszczył swego dzieła ani nie odebrał mu tkwiących w nim możliwości rozwoju. Skutek grzechu człowieka bezpośrednio dotknął tylko jego samego: była nim utrata łaski nadającej jego aktywności w stosunku do planów Stwórcy wartość wieczną, wartość pełnej zasługi przed Bogiem, polegającej na świadomym i płynącym z intencji służenia Bogu działaniu. Człowiek, stając się niejako biernym narzędziem zamiarów Bożych, nie utracił — w każdym razie nie utracił całkowicie — ani swego uprzywilejowanego stanowiska wśród niższych od siebie tworów Bożych, ani swych możliwości z tego uprzywilejowanego stanowiska płynących — możliwości kontynuowania i doskonalenia dzieła Stwórcy. Rozum jego został przyćmiony, ale niemniej nie przestał być rozumem. Wola jego osłabła i stała się podatna na zło, ale nie przestała być czynnikiem decydującym o wyborze między złymi a dobrymi możliwościami. Człowiek oddawał chwałę Stwórcy nie dlatego, że chciał to czynić ze względu na Stwórcę, ale dlatego, że istniał i że był dziełem rąk Bożych, i to — mimo grzechu — dziełem w naturze najdoskonalszym, bo rozumnym.

Ten wynikający z faktu istnienia sposób wielbienia Boga, mający taki sam charakter, jak wielbienie, jakie oddawał Bogu każdy twór Jego niezależnie od stopnia swej doskonałości, nie był jedynym, jaki człowiekowi po grzechu pierworodnym pozostał. Jako istota obdarzona rozumem i wolą, a więc zdolna do rozumnego działania, człowiek mógł oddawać chwałę Bogu w sposób czynny, choć nie intencjonalny, wzbogacając świat tym lepiej, tym pełniej, im pełniej swoje naturalne możliwości realizował. Ale i ta realizacja, choćby najpełniejsza, nie wypełniała uczynionej przez grzech pierworodny przepaści między Bogiem i człowiekiem. Nie wynosiła człowieka ponad stworzenie ani o stopień wyżej, niż sobie w oczach Boga zasłużył swoim upadkiem. Skuteczny i zgodny z planem Stworzenia czyn ludzki przyczyniał wprawdzie chwały Bogu i był dowodem wypełniania zadań, jakie przed człowiekiem w zakresie jego naturalnych możliwości postawił Stwórca, co więcej — podnosił człowieka w ściśle określonym zakresie do roli współpracownika Bożego, ale w ocenie Boga nie był dostatecznie zasługujący, nie posiadał wartości wiecznej, nie przekraczał w swych skutkach możliwości upadłej ludzkiej natury.

ODKUPIENIE, będące wyrazem miłości Boga ku stworzeniu, przywróciło częściowo możliwość istnienia stanu pierwotnego sprzed grzechu pierworodnego. Odkąd dokonał się fakt Odkupienia, od człowieka zależy, czy przyjmie łaskę, dar Boga udzielony dla zasług Chrystusa, i będzie z nią współdziałał w trudzie uświęcania się, mającego przywrócić utracony wskutek grzechu pierworodnego udział w wieczności i szczęśliwości Boga. Tylko niewielu ludziom dane było — jak Szawłowi przed bramami Damaszku — doznać wyjątkowego olśnienia, zawładnięcia przez łaskę i „porwania aż do siódmego nieba".

Odkupienie, dając człowiekowi — nie dla jego zasług, ale wyłącznie wskutek miłosierdzia Bożego — możliwość naprawienia zniewagi wyrządzonej Bogu, nie ujęło w istocie niczego z tego, co dawał akt Stworzenia. Łaska nie zniweczyła natury ani rozwijającej tkwiące w naturze możliwości kultury. Wprost przeciwnie, wszędzie gdzie się pojawiła, zacierała, choć niezupełnie, ślady pozostawione na stworzeniu przez grzech człowieka. Człowiek, poddając się działaniu łaski, by powrócić do stanu, który czynił go dzieckiem Bożym, nie przestaje należeć do natury i w jej porządku oddawać czci Bogu. Zadania jego w planach, nakreślonych przez Stwórcę w odniesieniu do stworzenia, nie zmniejszyły się ani o jedno. Łaska, która z dobroci Bożej przywróciła człowiekowi jego nadprzyrodzoną łączność z Bogiem, nie tylko nie wyłączyła go z planów Bożych odnośnie stworzenia, nie tylko nie uniemożliwiła oddawania chwały Bogu w porządku stworzenia, ale jeszcze nadała dziełom i czynom ludzkim wartość zasługi, uświęciła je i podniosła do rangi wartości Bożych.

Dzieło Odkupienia dokonało się wprawdzie dla wszystkich, nie wiemy jednak, czy udział w nim ze strony człowieka jest powszechny. „Państwo Boże" nie pokrywa się z liczbą ochrzczonych, ale nie mamy pewności, czy pokrywa się z całą ludzkością. Jego zakres jest tajemnicą, którą zna tylko Bóg. Wybór między łaską a grzechem i skutki każdorazowego wyboru są — jeśli tak można powiedzieć — sprawą intymną między Bogiem i każdą jednostką ludzką. Nikt nie może wiedzieć na pewno, że Judasz został potępiony, jak i nikt nie ma prawa twierdzić, że w ostatniej chwili życia zadośćuczynił Bogu za swe grzechy.

Poza łaską nie ma pełnej zasługi przed Bogiem, a zatem i zbawienia. Jeśli się w pełni dobrej woli nie przyjmuje udziału w łasce dawanej przez Boga, lekceważy się Boga-Odkupiciela, odrzuca się dar Jego nieskończonego miłosierdzia. Wyrokowanie o tym, kiedy pełnia świadomości i wolnej woli towarzyszy temu odrzuceniu, nie należy do zadań ani do kompetencji człowieka. Jest to sprawa między Bogiem i tym, kto dzieło miłosierdzia Bożego odrzucił.

rys. Roman Madeyski

W JEDNOCZESNEJ trosce o depozyt wiary, o oddawanie chwały Bogu, będące zadaniem człowieka, i o jego cel ostateczny, jakim jest zbawienie, oraz o pełne poszanowanie dla stworzenia jako dzieła Bożego należy stawiać sobie pytanie, jaki związek zachodzi między oddawaniem czci Bogu w sposób niezależny od intencji człowieka, od jego chęci służenia Bogu, lecz mimo to czynny, a więc wyższy niż sposób właściwy każdemu stworzeniu niższemu od człowieka, a owym właściwym bytowi Pierwszą można by nazwać naturalną. Streszcza się ona w tym, że człowiek, będący częścią stworzenia, już przez sam fakt swego istnienia i rozwoju oddaje cześć Stwórcy. Wszelkie rozumne działanie człowieka i skutki tego działania, które najtrafniej chyba byłoby nazwać kulturą, są tylko dalszą konsekwencją tego ontologicznego uczczenia Boga, ponieważ rozumne działanie należy do natury człowieka, jest jej funkcją. Ważne jest tu jednak uświadomić sobie, że kierunek rozumnego działania człowieka zależy od jego woli, udzielonej mu przez Stwórcę wraz z rozumem, i że może on być zgodny z planami Stwórcy, gdy prowadzi do wyboru spośród dóbr naturalnych — wyższych, bądź niezgodny z planami Stwórcy, gdy zwrócony jest ku niższym. Określając to innymi słowy trzeba powiedzieć, że działanie mające na celu zaktualizowanie tkwiących w stworzeniu możliwości, przez które podnosi się je na wyższy stopień doskonałości, jest zgodne z planami Stwórcy, działanie zaś niweczące te możliwości lub nie aktualizujące ich — jest działaniem wbrew tym planom.

Drugą płaszczyznę, dla korelacji z terminem użytym na określenie pierwszej, nazwijmy płaszczyzną nadprzyrodzoną albo płaszczyzną łaski, którą człowiek przyjmuje i z którą współdziała. Wielbienie Boga na tej płaszczyźnie jest jakościowo różne i wyższe od poprzedniego i przekracza zdolności każdego innego bytu niższego od człowieka. Człowiekowi zdolność ta udzielona została przez Boga w samym akcie stworzenia, a ściślej mówiąc — w dopełniającym go akcie wyniesienia człowieka do porządku nadprzyrodzonego. Utraconą potem przez grzech pierworodny, przywróciło Odkupienie pod warunkiem, że człowiek weźmie udział w działaniu łaski.

Wprowadziwszy w ten sposób gradację spróbujmy rozwiązać problem, czy pierwszy stopień tej gradacji spełnia — i o ile spełnia — możliwości człowieka w odniesieniu do jego obowiązków wobec Stwórcy.

Dla rozwiązania tego problemu warto wprowadzić ważny dla chrześcijańskiej koncepcji świata podział bytów na te, które wielbią Boga przez wypełnianie wyznaczonych im przez Boga zadań, i na te, które tak pojętemu wielbieniu Boga nie zadośćczynią. Analiza pojęcia celów człowieka oparta o dane Objawienia musi doprowadzić do stwierdzenia, że celem ostatecznym jego, a więc celem *sensu stricto*, jest zbawienie; wszystkie inne elementy, jakie wchodzą tu w rachubę, są tylko celami pośrednimi a więc w ścisłym znaczeniu stanowią środki służące kolejno realizacji tego ostatecznego celu. Dotyczy to zarówno współpracy z Bogiem-Stwórcą w kontynuacji Stworzenia, a więc wyróżnionej powyżej płaszczyzny naturalnej, jak i współpracy z Bogiem-Odkupicielem i Uświęcicielem w urzeczywistnianiu dzieła Odkupienia i Uświęcenia — na płaszczyźnie zarówno nadprzyrodzonej jak i przyrodzonej.

Z analizy tej wynika, że skoro ostatecznym celem człowieka zgodnie z planem Stwórcy i Odkupiciela jest zbawienie, to człowiek, który realizuje plany Stwórcy w stosunku do stworzenia będąc w stanie grzechu, nie łaski, należy do bytów, które tylko częściowo osiągają właściwe im cele. Poprawność logiczna tej ogólnej zasady domaga się uzupełnienia dwoma jeszcze zastrzeżeniami, również wynikającymi z poprzedniego rozumowania. Po pierwsze, że warunkuje ją problem, czy idzie tu o człowieka, który w dostatecznym stopniu zna Objawienie i który może ponosić pełną odpowiedzialność za odrzucenie jego treści oraz wynikających z niej konsekwencji, po drugie — że odpowiedzialność tę może nieomylnie ocenić jedynie Bóg i sumienie człowieka, którego ona obciąża.

Ponadto wprowadzona gradacja wymaga innego jeszcze uzupełnienia, wynikającego z faktu, że płaszczyzna natury i nadnatury stykają się w człowieku i zachodzą na siebie tak dalece, że rozdzielenie ich nawet tam, gdzie problem łaski w rozumieniu ludzkim nie wchodzi w rachubę z powodu nieistnienia warunków wyrażonych powyżej w zastrzeżeniu (np. gdy dzieło Odkupienia i wszystkie płynące zeń konsekwencje nie doszły do świadomości człowieka), jest zupełnie niemożliwe, jeśli się bierze pod uwagę miarę wartości obiektywnych, jaką Bóg przykłada do każdego czynu ludzkiego oceniając go w aspekcie ostatecznego celu człowieka. W ten sposób zamiast dwu stopni wprowadzić należy cztery. Nie siląc się na trudno osiągalną w tej dziedzinie ścisłość można je przedstawić w sposób następujący:

a) człowiek kontynuując dzieło Stwórcy w stanie łaski wielbi Boga w płaszczyźnie natury i w płaszczyźnie łaski w pełni danych mu możliwości;

b) człowiek wielbi Boga w stanie łaski w płaszczyźnie natury, nie zajmując się kontynuacją dzieła Stworzenia lub zajmując się nim poniżej swych możliwości;

c) człowiek kontynuując dzieło Stwórcy, wielbi Boga w stanie grze-

(Dokończenie na str. 7)

DNI 59/012

RUDOLF BUCHAŁA

NIEBEZPIECZEŃSTWO WZROSTU NEOFASZYZMU

CO przyczyniło się do tego, że nazwisko Ottona Strassera stało się ostatnio tak głośne? Jego okresowa współpraca z Hitlerem? Zerwanie z nim w roku 1930? Jego „Czarny Front", który nie odegrał większej roli? Ucieczka przed Gestapo i wojskami hitlerowskimi poprzez Austrię, Czechosłowację, Szwajcarię, Francję, Hiszpanię, Portugalię do Kanady?

Fakty te czynią zeń człowieka o bogatej i interesującej przeszłości politycznej. Do rozgłosu przyczynił się jednak przede wszystkim jego powrót, i to wbrew sprzeciwom kanclerza Adenauera. Adenauer zgodnie ze swoją tezą propagandową, wygłoszoną w mowie powyborczej jesienią 1953 roku, o tym, że odsunięte zostały od wpływu na społeczeństwo skrajna lewica i skrajna prawica, twierdził, iż do tej pory stronnictwa nacjonalistyczne znajdujące się jeszcze bardziej na prawo niż chadecja są niegroźne, ponieważ stanowią liczne pomniejsze ugrupowania. Natomiast z chwilą powrotu Strassera istnieje niebezpieczeństwo ich połączenia. Sprawa oparła się o sąd najwyższy kraju, który orzekł, iż nie można odmawiać Strasserowi praw obywatelskich na tej tylko podstawie, że mógłby ich potem nadużyć. 18 marca br. — po 22 latach — Otto Strasser wrócił do Niemiec zachodnich.

Opór Adenauera ma jednak głębsze przyczyny. Specjaliści od badania opinii publicznej w Niemczech zachodnich nieraz już stawiali w ankietach pytanie: „Czy uważa pan (i) narodowy socjalizm za ideę złą czy też za ideę dobrą, lecz źle zrealizowaną?". Pokaźna część zapytywanych opowiada się za drugim członem pytania: narodowy socjalizm był ideą dobrą, ale źle zrealizowaną.

*

JESIENIĄ 1920 roku spotkała się w aptece w Landshut osobliwa czwórka. Przyjechał pan, w którym każdy mógł rozpoznać wojskowego. Był nim b. generał Ludendorff. Towarzyszący mu młody człowiek w niebieskim garniturze starał się skryć za plecami potężnego generała. 31-letni Adolf Hitler nie miał jeszcze wtedy tupetu demagoga, nabył go dopiero w późniejszych latach. Właściciel apteki, pan Gregor Strasser, przedstawił czwartego z obecnych — swojego brata dr Ottona Strassera. Wymiana zdań rozpoczęła się niebawem. Hitler akcentował nacjonalizm programu. „Panie Hitler, czy swego programu nie nazywa pan narodowym socjalizmem? — odpowiada Otto Strasser. — To pisze się razem, prawda? Gramatyka niemiecka stwierdza, że przy tego rodzaju połączeniach dwóch słów w jedno słowo pierwsze ma charakter przymiotnikowy wobec słowa drugiego. Czy może pana bałtycki doradca, pan Rosenberg, nie opanował dostatecznie niemieckiego języka?" Hitler i Strasser, który miał przeszłość socjal - demokratyczną, nie zostali jeszcze w tym dniu przyjaciółmi. Otto Strasser wstąpił do NSDAP dopiero w roku 1926, kiedy brat jego Grzegorz objął kierownictwo partii na terenie Niemiec północnych.

Połączenie nacjonalistycznych haseł Hitlera z „socjalizmem" Strasserów uczyniło z narodowego socjalizmu program doskonale odpowiadający potrzebom burżuazji w tym czasie.

Jak wiadomo, tradycyjna partia robotnicza Niemiec SPD zawiodła w roku 1918 klasę robotniczą. Nadzieje mas na zrealizowanie socjalizmu nie zostały zaspokojone. Szerokie rzesze społeczeństwa niemieckiego ogarnęła rezygnacja i rozczarowanie do socjaldemokracji. Dominantą nastrojów wśród upośledzonych klas w narodzie niemieckim było, pogłębione jeszcze przez rozpoczynający się kryzys gospodarczy, pragnienie wyzwolenia społecznego. Było rzeczą oczywistą, że żaden program partyjno - polityczny, który by tego nie uwzględniał (szczerze czy też tylko jako hasła propagandowe), nie mógł liczyć na poparcie mas.

Nacjonalizm NSDAP odpowiadał doskonale nastrojom panującym w centrowych ugrupowaniach politycznych drobnomieszczaństwa. Został on ostatecznie — w braku lepszego — uznany także przez koła wojskowo - junkierskie, mimo całej ich odrazy do drobnomieszczańskiego parweniusza Hitlera. Koła te zgodziły się na frazeologię nacjonalistyczną, ponieważ konieczność przedsięwzięcia stanowczych środków przeciwko narastającej fali rewolucyjnej nagliła. „Socjalizm" akcentowany w ramach NSDAP przez braci Strasserów mógł z kolei doskonale posłużyć do obałamucenia i rozbicia organizacyjnego klasy robotniczej. Tę rolę odegrali obiektywnie bracia Strasser ze swym programem w ramach partii narodowo - socjalistycznej. Programowe przemówienie Grzegorza Strassera w Reichstagu z dnia 10 maja 1931 roku odzwierciedla mimo woli z jednej strony, jak silna była już fala rewolucyjna w Niemczech — z drugiej zaś strony, przez swoje ostrze antykomunistyczne i burżuazyjny stosunek do własności prywatnej, tłumaczy wystarczająco, dlaczego wielki kapitał mógł bez obawy zgodzić się na „socjalizm" w wydaniu braci Strasserów. Grzegorz Strasser mówił wtedy między innymi: „Naród protestuje przeciwko gospodarce, która myśli tylko o pieniądzach, zysku i dywidendach, a zapomina o pracy... Wielka antykapitalistyczna tęsknota, która idzie dzisiaj przez nasz naród, objęła może już świadomie albo nieświadomie 95 proc. ludności. Ta antykapitalistyczna tęsknota nie jest jednak odmową wobec moralnie uzasadnionej własności powstałej z pracy i oszczędności i nie ma nic wspólnego z międzynarodówką".

Wnet jednak mocodawcy Hitlera zażądali od niego bardzo jasnych odpowiedzi. Reichswehra uzyskała gwarancję w postaci rozstrzelania kapitana Röhma dowodzącego tym skrzydłem w SA, które aspirowało do opanowania Reichswehry. Podobnie wielki kapitał, który dawał pieniądze, uzyskał gwarancję w postaci zamordowania drugiego z najbliższych współpracowników Hitlera — Grzegorza Strassera, tej samej osławionej nocy 30 czerwca 1934 r. Uprawianie strasserowskiego „socjalizmu" w ramach NSDAP było dobre do czasu obałamucenia i rozbicia klasy robotniczej. Kiedy cen ten został osiągnięty, dalsze akcentowanie nawet tego pseudo-socjalizmu mogło przysporzyć tylko niepotrzebnych kłopotów.

A Otto Strasser? Opuścił on szeregi NSDAP z wielkim hukiem w roku 1930. Niektóre dzienniki pod jego wpływem umieszczały artykuły z hasłem: „Socjaliści opuszczają NSDAP". „Heil Hitler" zmienia się na „Heil Deutschland"; swastykę — na młot z mieczem. Pod kierownictwem Ottona Strassera powstaje opozycyjna w stosunku do NSDAP grupa „Schwarze Front". Powody tego buntu? Strasser musiał dostrzec, że nawet ta nieszkodliwa dla burżuazji i całkowicie drobnomieszczańska gadanina o „socjalizmie" programu NSDAP musi wziąć w łeb, jeśli wizyty Hitlera w przedpokojach Thyssenów, Kruppów, Flicków i innych magnatów przemysłowych będą w dalszym ciągu tak częste i tak obfitujące w „zasiłki" dla kasy partyjnej.

*

NA emigracji w Kanadzie Strasser próbuje współpracować z Ruchem Wolnych Niemiec, który stał na alianckim stanowisku bezwarunkowej kapitulacji Niemiec hitlerowskich. Po kapitulacji Otto Strasser wchodzi pośrednio na arenę polityczną Niemiec zachodnich. Jest prawie pewne, że kieruje on z Kanady takimi partiami względnie ugrupowaniami politycznymi jak: Sammlung zur Tat — Deutsche Volksbewegung — założoną w roku 1949 we francuskiej strefie okupacyjnej i wydającą swój organ „Informationsdienst der Sammlung zur Tat (Szt)". Zbliżona do Strassera jest Sozialistische Reichspartei (SRP) założona również w roku 1949 przez Fritza Dorlsa, który wystąpił z działającej jeszcze dzisiaj tu i ówdzie Deutsche Rechtspartei. W programie Socjalistycznej Partii Rzeszy czytamy słowa świadczące wybitnie o wpływach Strassera: „Zjednoczenie wszystkich ziem niemieckich w Czwartej Rzeszy, która przywróci to, co było dobre w narodowym socjalizmie. Flagą tej partii był czarny orzeł Rzeszy na czerwonym tle. Stanowi to wyraźne nawiązywanie do narodowego socjalizmu. W programie zaś Niemieckiej Partii Prawicy, z której wywodzi się „ojciec" SRP czytamy takie słowa: „Jesteśmy czymś w rodzaju NSDAP bez nienawiści rasowej i dyktatury. Jesteśmy partią stanu piątego: uciekinierów i byłych członków NSDAP. U naszych wyborców uchodzimy także za nazistów i podzielamy dużą część programu NSDAP, która przyczyniła się w znacznej mierze do uśmierzenia nienawiści klasowej". Do ugrupowań będących pod wpływem Strassera należy także Tatgemeinschaft Freier Deutscher, powstała w roku 1949 w Nadrenii-Westfalii, z organem „Der Fortschritt". Powiązana ze Strasserem była grupa Der Bund na terenie całej ówczesnej Trizonii. Wydawała biuletyn „Katakomben Scheinwerfer". Wreszcie grupa zwolenników Strassera w Berlinie zachodnim związana z „Sammlung zur Tat" pod nazwą Vereinigung Europäischer Staatsbürger z dwutygodnikiem „Freie Meinung".

Mówiąc o tych ugrupowaniach trzeba pamiętać o tym, że istnieje w Niemczech istna pstrokacizna ugrupowań, które powstają często tylko na okres wyborczy i potem zanikają. Często ugrupowania takie rodzą się na skutek personalnych rozgrywek wewnątrz poszczególnych partii. „Opozycjoniści" opuszczają wtedy zwykle partię macierzystą tworząc swoją własną. Rzecz oczywista, że takie „partie polityczne" nie funkcjonują zbyt długo. Z wyżej wymienionych prawie żadne ugrupowanie nie działa już dzisiaj pod dotychczasową nazwą. Nie znaczy to, ażeby wśród istniejących aktualnie w Republice Federalnej około 45 partii i grup politycznych zanikły partie neofaszystowskie. Najlepszy dowód, że kiedy zakazana została wzmiankowana wyżej Sozialistische Reichspartei jako zbyt przejrzyście neohitlerowska, utworzone zostało na wiosnę 1951 nowe ugrupowanie jako jej odłam pod nazwą Deutsche Gruppe, działające do dziś dnia.

*

SKĄD bierze się lęk Adenauera przed człowiekiem, który wraca do Niemiec zachodnich w okresie, wydawałoby się, niezachwianie ugruntowanej potęgi wszechwładnego kanclerza?

Odpowiedź mamy już w cytowanej ankiecie w sprawie narodowego socjalizmu. Otto Strasser — wprawdzie faszysta — wraca jednak jako ten, który otoczony jest nimbem narodowego socjalizmu, nieskażonego przestępstwami 12 lat panowania. Reprezentuje on narodowy socjalizm właśnie jako „ideę dobrą", która teraz, nauczywszy się na błędach przeszłości, może być „poprawnie zrealizowana". Otto Strasser jako doświadczony polityk zrozumiał, że jego powrót w roku 1945 przebrzmiałby bez echa. Narodowy socjalizm był wtedy skompromitowany. Zbrodnie przezeń popełnione zbyt świeżo tkwiły w pamięci. Nie ostygły jeszcze zgliszcza miast i wiosek w jego własnej ojczyźnie. Nie ustał jeszcze płacz po 5,5 milionach zabitych i zaginionych. Na wznowienie narodowego socjalizmu nie było żadnych szans. Niewielu było wtedy takich, którzy uwierzyliby w jakąkolwiek możliwość „dobrego" zrealizowania narodowego socjalizmu. Pozostawanie w cieniu i kierowanie zza kulis niektórymi ugrupowaniami, wpływanie na opinię i urabianie jej w odpowiednim kierunku było w tym czasie polityką długofalową, bez szybkich efektów, ale za to skuteczną. Narodowy socjalizm był tak skompromitowany w oczach mas, iż nawet wszechwładni potentaci przemysłowi nie mogli sobie pozwolić na użycie „opozycjonisty i buntownika" Strassera i jego „niemieckiego socjalizmu" jako narzędzia władzy. W tej chwili osoba Adenauera jest niewątpliwie tym czynnikiem, który w dużym stopniu utrzymuje autorytet chrześcijańskiej demokracji wewnątrz stronnictwa i wśród wyborców. Gdyby natomiast rozwinęły się nastroje nacjonalistyczne wśród drobnomieszczaństwa i inteligencji, gdyby pogłębiło się niezadowolenie wśród takich warstw społeczeństwa jak np. przesiedleńcy, gdyby pogłębił się kryzys trawiący obecnie bońską koalicję rządową — mogłaby nadejść chwila, że Strasser i jego neonacjonal-socjalizm uznany zostanie za skuteczniejsze narzędzie opanowania Niemiec zachodnich przez monopole. Rola chrześcijańskiej demokracji może się wtedy zakończyć, a wraz z nią również rola Adenauera. W tej sytuacji powrót Strassera na tle odradzających się wśród niektórych kół profaszystowskich nastrojów jest dla kanclerza ogromnie niepożądany.

*

JAKIE są pozycje Strassera, które pozwalają mu rozpocząć walkę o wpływy z Adenauerem? Ich zasadnicza treść mieści się w odpowiedzi udzielonej Hitlerowi w roku 1929.

Obecnie hasła chrześcijańskie odgrywają w programie Strassera jeszcze większą rolę, podczas gdy antysemityzm ustąpił na bardzo daleki plan. Nie ma o nim obecnie w ogóle mowy. Zagadnienie ma być rozwiązane tak, że po ewentualnym przejęciu władzy po Adenauerze czynne i bierne prawo wyborcze mają mieć tylko chrześcijanie. (Sic!). Innymi słowy — rasizm pokryty jawnie i z całym cynizmem przez chrześcijaństwo. Wykorzystując militarystyczną i pseudodemokratyczną propagandę jakiej dokonał już kanclerz, Strasser prowadzi jawne ataki nawet na tzw. zachodnią demokrację partyjną, o której twierdzi, że jest martwa i musi być zastąpiona przez „twórcze wyrażanie woli czyli tzw. nowoczesną demokrację stanową". Parlament mają odtąd tworzyć nie posłowie wybierani według przedstawicielstwa poszczególnych partii, ale reprezentanci grup zawodowych w tzw. Izbie Stanów Rzeszy. Odpowiednikiem Bundesratu ma natomiast być Reichsrat (Rada Rzeszy), faktycznym kierownikiem Rzeszy zaś prezydent wybierany dożywotnio. Ustawy są prawomocne, gdy dwie z trzech instytucji Rzeszy wyrażą na nie swą zgodę. Prezydent ma prawo powoływać do Rady Rzeszy zasłużonych i jemu zaufanych ludzi. Praktycznie rzecz biorąc ta „nowoczesna demokracja" jest więc niczym innym jak pseudodemokratyczną formą dla rządów kierowniczej grupy jednej partii burżuazyjnej. Jako hasła dla propagandy przedwyborczej pozostają potem jeszcze tradycyjne korporacjonistyczne obiecanki o wywłaszczeniu wielkiego przemysłu i wielkiej własności ziemskiej, uspółdzielczenie drobnego przemysłu, czyli to wszystko, co stanowi także program chrześcijańskiej demokracji, głoszony od pół wieku i od tyleż czasu nie realizowany, chociaż partie te, zwłaszcza po II wojnie światowej, są albo partiami rządzącymi w wielu państwach Europy zachodniej, albo mają decydujący wpływ na rządy. Z programu czysto faszystowskiego wzięte jest już hasło stworzenia z chłopstwa „trwałego stanu na zasadzie dziedziczenia" (hitlerowskie Erbhofgesetz).

W programie tym nie trudno dostrzec klasyczne pozycje korporacjonizmu pomieszane z jawnie faszystowskimi elementami, do których zresztą korporacjonizm prowadzi jako do swego naturalnego ujś-

(Dokończenie na str. 7)

List do Redakcji

Ks. dr WINCENTY KWIATKOWSKI

Profesor Teologii ATK

W sprawie błędów w artykule W. Seńki

Szanowny Panie Redaktorze!

Przesyłam uwagi w związku z artykułem Władysława Seńki pt. „W jedności z Duchem Świętym" („Dziś i Jutro" nr 21 z dnia 29 maja 1955 r.).

Autor w artykule swoim rozwija myśli, że 1) Duch Święty przywraca współdziałanie człowieka z Bogiem w dziele zapoczątkowanym u progu Stworzenia; 2) że Duch Święty przebywa w Kościele założonym przez Chrystusa, stając się szafarzem wszystkich darów (nadprzyrodzonych), jakimi Bóg obdarza człowieka; 3) że Duch Święty dokonał uświęcenia całego stworzenia, tj. że kontynuacja dzieła Stworzenia jest przede wszystkim wprowadzeniem całego życia i całego naszego dzieła w orbitę działania Łaski; 4) że działanie Ducha Świętego jest wielorakie w duszach poszczególnych ludzi.

W redagowaniu zaś tych myśli, skądinąd zupełnie słusznych i teologicznych, autor nie dopatrzył pewnych błędów nie tylko dotyczących sposobu przedstawienia myśli, ale i godzących w naukę katolicką.

1) Zesłanie Ducha Świętego nastąpiło nie w czterdzieści dni, lecz w pięćdziesiąt dni po Zmartwychwstaniu Chrystusa.

2) Bóg w Trzeciej Osobie Trójcy Świętej pochyla się głęboko nad upadłym stworzeniem... nie zaś Bóg, Trzecia Osoba Trójcy Świętej...

3) Obraz spotykany w hymnie Veni Creator i przedstawiający Ducha Świętego jako palec prawicy Bożej (digitus paternae dexterae) nie może bez obawy błędu dogmatycznego być użyty dla zilustrowania Trójcy Świętej (człowiek — to Bóg Ojciec, prawica — to Bóg Syn, a palec — to Duch Święty), ponieważ Duch Święty pochodzi od Ojca i Syna jako ze wspólnego źródła.

4) Nie można oddzielać założenia Kościoła od jego istnienia, ponieważ są to wyrazy równoznaczne. Autor chciał prawdopodobnie powiedzieć, że w dzień Zesłania Ducha Świętego, Kościół raczej rozszerzył się niż powstał.

5) Chrześcijaństwo żyje przeżywaniem wspomnienia o założeniu Kościoła, dziele Wcielenia, Odkupienia jako wiekopomnych wydarzeniach obfitujących w następstwa dla każdego człowieka, nie zaś obecnością i realnością tych faktów.

6) Odkupienie trwa nadal w swoich skutkach, a zesłanie Ducha Świętego jeszcze się nie skończyło jako wydarzenie wtórne i powtarzalne w różnych swoich przejawach.

7) Chrystus zostawił kontynuację Kościoła ludziom, przekazując go Piotrowi i jego następcom, aczkolwiek nie pozostawił go samym ludziom.

8) Chrystus działa ciągle w Kościele przez Ducha Świętego, a przebywa w Kościele ciągle w Eucharystii.

9) Chrystus wyjednał łaski, a nie uprosił.

10) Pełny rozwój stworzenia dokonywa się faktycznie w świetle Łaski. Natomiast stwierdzenie, że „pełny rozwój stworzenia jest możliwy tylko w świetle Łaski" — prowadzi do jej znaturalizowania.

11) Kontynuacja dzieła Stworzenia winna włączać każdego do dzieła Odkupienia. Natomiast nie można twierdzić, że „nie ma kontynuacji dzieła Stworzenia poza porządkiem Odkupienia".

12) Odkupienie jest częściowym przywróceniem człowieka do jego stanu pierwotnego (usunięcie grzechu pierworodnego i kary wiecznej z pozostawieniem śmierci, chorób i namiętności). Natomiast nie można twierdzić że „Odkupienie jest tylko przywróceniem stworzenia do jego stanu pierwotnego, w jakim wyszedł z rąk Stwórcy",

13) Chrześcijański stosunek człowieka do Boga sprowadza się co prawda do Łaski i grzechu, lecz wraz z zaakcentowaniem w tym stosunku odpowiedzialności za skutek czynu ludzkiego. Przeto z braku wyraźnego zaakcentowania odpowiedzialności za skutki czynu ludzkiego w określeniu stosunku człowieka do Boga powstaje możliwość przeoczenia harmonii między intencją a skutkiem czynu, innymi słowy, oprócz dobrej intencji czyn winien rodzić największy z dostępnych dla danego człowieka skutek doskonalący życie indywidualne, społeczne oraz panowanie człowieka nad przyrodą.

Ks. Wincenty Kwiatkowski

P. S. List tej treści wysłałem również do redaktora naczelnego „Słowa Powszechnego"

Redakcja „Dziś i Jutro" stwierdza, że artykuł Władysława Seńki pt. „W jedności z Duchem świętym", wydrukowany w numerze 21/495 z dnia 29 maja 1955 r., zawierający szereg zasadniczych błędów — ze względów technicznych tylko częściowo wycofany ze sprzedaży przez redakcję — zamieszczony został w wyniku niedopatrzenia ze strony kolegium redakcyjnego.

Redakcja

Z życia Komisji

W TROSCE O PUBLICYSTYKĘ KATOLICKĄ

KONFERENCJE Sekcji Publicystyki Katolickiej przy Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego są nie tylko okazją do przedyskutowania stanu czasopiśmiennictwa katolickiego w Polsce, ale przyczyniają się do krystalizowania się profilu ideowego naszej publicystyki, a przede wszystkim przynoszą wiele inspiracji i konkretnych postulatów pod adresem zespołów redakcyjnych. Ostatnia konferencja z dnia 26 maja br. skupiła 25 księży oraz świeckich redaktorów i współpracowników prasy katolickiej. Przedmiotem konferencji była problematyka popularnych tygodników katolickich ze szczególnym uwzględnieniem „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego", „Gościa Niedzielnego" i „Katolika". Podstawy do dyskusji stworzył referat wygłoszony przez redaktora naczelnego „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego" Tadeusza Mazowieckiego. Referent zaczął od sformułowania podstawowych cech, jakimi winny się charakteryzować czasopisma katolickie. Są to: walka o postępową treść społeczną artykułów, walka z tradycyjnym fideizmem przez intelektualne pogłębienie wiedzy religijnej, obecność w czasopismach ogólnej problematyki współczesnej, właściwie zrozumiana popularność bez obniżania poziomu pisma i bez częstych przed wojną, niewłaściwych uproszczeń i wulgaryzacji poruszanych zagadnień. Niebezpieczeństwo getta problematyki katolickiej zażegnane być musi przez rozszerzenie wachlarza tematów tak, aby zgodne one były z ogólną linią pisma i faktycznymi potrzebami czytelnika. Jedną z wad naszej publicystyki jest różny poziom artykułów. Dla intelektualnego podniesienia czytelnika i przygotowania go do odbioru problematyki bardziej skomplikowanej i trudnej — konieczne jest stworzenie publicystyki o poziomie średnim; dotyczy to przede wszystkim publicystyki ideologicznej, teologicznej i filozoficznej. Sprawa wychowania takiego typu publicystów należy bez wątpienia do istotnych, zważywszy ambicje redakcyjne naszych czasopism.

Mówiąc o dotychczasowych doświadczeniach red. T. Mazowiecki podkreślił, że duże nakłady katolickich tygodników popularnych świadczą o istniejącym w społeczeństwie zapotrzebowaniu na pisma, które byłyby atrakcyjne i zrozumiałe, a jednocześnie na poziomie, który nie żenowałby czytelnika — jak to miało miejsce z wieloma lokalnymi czasopismami przedwojennymi.

Rozpatrując zagadnienia szczegółowe referent wysunął na plan pierwszy konieczność bardzo starannego opracowania problematyki religijnej. Ona to w szczególności wymaga krytycznej i twórczej dyskusji, która poddałaby analizie dotychczasową praktykę w tym zakresie. Specjalną uwagę zwrócić należy na pogłębienie intelektualnych przesłanek wiary katolickiej. Należy zwłaszcza doprowadzić do prawidłowych proporcji w zobowiązaniach katolika wobec rzeczywistości nadprzyrodzonej i doczesnej, a to przez większe niż dotąd akcentowanie moralnego obowiązku doskonalącego przekształcania świata. Działy religijne redakcji winny w szerszym niż dotąd zakresie podejmować niezwykle istotny i aktualny problem współżycia i współtwórczości ludzi o różnych światopoglądach. Szerokie uwzględnienie w planach redakcyjnych winien znaleźć palący i bolesny problem indyferentyzmu światopoglądowego. Wielką rolę ma do spełnienia prasa w dziedzinie pogłębienia świadomego uczestnictwa w życiu liturgicznym Kościoła. Specjaliści winni szerzej rozwinąć publicystykę, która pomogłaby czytelnikom pełniej zrozumieć liturgię.

Jako drugą grupę zagadnień szczególnie ważnych red. T. Mazowiecki wysunął problemy społeczne, podkreślając konieczność częstszego sięgania do konkretów i akcentowania pobudek światopoglądowych w ocenie zjawisk społecznych. Poszczególne zespoły redakcyjne muszą, oczywiście, uwzględniać, w swoich planach specyfikę terenu, któremu służą. I tak, „Katolik" wychodzący w Opolu otoczy specjalną troską zagadnienie coraz pełniejszego wiązania miejscowej ludności śląskiej z kulturą ogólnopolską; stalinogrodzki „Gość Niedzielny" szerzej rozwinie problematykę przemysłu i produkcji, a „Wrocławski Tygodnik Katolicki" — sprawy Ziem Zachodnich. Czytelnicy wymienionych czasopism otrzymują niedostateczną ilość wiadomości dotyczących zagadnień międzynarodowych, w szczególności konieczne jest szersze informowanie o sytuacji i działalności katolików społecznie postępowych za granicą — we Francji, Włoszech, Niemczech i innych krajach. Innym zagadnieniem międzynarodowym ważnym z punktu widzenia wychowawczego, jest problematyka kolonializmu.

Wielką wagę posiada publicystyka i twórczość kulturalna, której nie zawsze poświęca się dostatecznie dużo miejsca. Nie wchodzącym wprawdzie bezpośrednio w zakres pracy redakcji, ale ważnym zagadnieniem jest skupianie wokół redakcji katolickich środowisk kulturalnych, które ułatwić mają rozwój młodym literatom.

Analizując błędy poszczególnych pism — referent zwrócił m. in. uwagę na peryferyczność zagadnień poruszanych we „Wrocławskim Tygodniku Katolickim", na przewagę materiałów historyczno - kulturalnych w „Katoliku" i niedostateczność artykułów z zakresu kultury w „Gościu Niedzielnym".

Dyskusja, jaka rozwinęła się po referacie wyjaśniła przyczyny wielu błędów zespołów redakcyjnych. Brak aktualnych materiałów literackich w „Katoliku" tłumaczy się brakiem środowiska kulturalnego, którego młody zespół redakcyjny nie zdołał jeszcze zorganizować. Niedostateczna ilość artykułów społeczno - gospodarczych i kulturalnych w „Gościu Niedzielnym" wynika z małej objętości pisma i konieczności dostatecznego uwzględnienia problematyki religijnej. Redakcja „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego" zamierza znacznie rozszerzyć problematykę Ziem Zachodnich nawiązując współpracę również z autorami z diecezji gorzowskiej, gdańskiej i warmińskiej.

W dalszym ciągu dyskusji, w której głos zabrali m. in. ks. dr Kornobis, ks. dr Eborowicz, ks. prof. Łaniewski, ks. dr Radosz, ks. Kabziński, ks. Kupczyk i inni, poruszono wiele zagadnień, na które, zdaniem dyskutantów, należałoby położyć specjalny nacisk w dalszej pracy redakcyjnej. Do nich należą: grupa zagadnień wychowawczych (problemy wychowawcze w rodzinie katolickiej, w szkole itp.), sprawa pogłębienia publicystyki poświęconej zagadnieniu pracy, wzmożenie na łamach pism katolickich walki z takimi plagami społecznymi jak alkoholizm i chuligaństwo. Dyskutanci ocenili pozytywnie numery specjalne „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego", proponując kontynuowanie tej formy i wydanie specjalnych numerów poświęconych zagadnieniom małżeństwa i alkoholizmu.

Specjalną uwagę poświęcono atrakcyjności formy zarówno całych pism jak i samych artykułów, zwłaszcza w zakresie publicystyki ściśle religijnej. Problem ten podkreślony w referacie podchwyciło wielu dyskutantów, zwracając np. uwagę, że w zakresie tematyki religijnej wciąż jeszcze najpowszechniejszą formą jest suchy wykład. Konieczna jest więc większa atrakcyjność i „publicystyczność" artykułów, szukanie nowych form.

Nowe pisma katolickie winny wystrzegać się tradycyjnych zwyczajów, według których publicystyka moralna ograniczała się w znacznej mierze do negacji zła, do zwalczania grzechu, do komentowania zakazów moralnych; trzeba aby pisma katolickie szerzej rozwinęły pozytywne nakazy moralne, które kształtować mają styl życia katolików, trzeba aby twórcze wartości katolicyzmu przekazywane były w coraz szerszym zakresie czytelnikom pism katolickich.

(ld)

Jerzy Olkiewicz — Port

PRZED FESTIWALEM

(Dokończenie ze str. 1)

tych problemów, to jednocześnie błędem byłoby negowanie faktu, że mamy nie tylko wielu potencjalnych sojuszników wśród młodzieży wszystkich krajów, ale że również tkwią w niej nieujawnione dotąd cenne wartości ideowe i moralne, zdolne wzbogacić naszą walkę o lepszy świat.

W szczególności powinniśmy zwrócić uwagę na wielkie i w minimalnym dotychczas stopniu wykorzystane możliwości zaktywizowania młodzieżowych środowisk chrześcijańskich, a zwłaszcza katolickich. Oczywiście, działalność ruchu społecznie postępowego katolików polskich ma już na swym koncie wiele sukcesów; ale znacznie więcej jest jeszcze do zrobienia. I na pewno przedstawiciele zagranicznych chrześcijańskich środowisk i organizacji młodzieżowych i studenckich mogą wnieść wiele elementów wzbogacających nasze przemyślenia oraz doświadczenia ideowe i moralne walki o pokój i przyjaźń między narodami. Dyskusję na te tematy stanowić będzie z pewnością nie tylko treść przygotowywanego na Festiwalu spotkania młodych katolików, ale i w mniejszym gronie dokonywanej wymiany poglądów i doświadczeń.

MŁODZIEŻ POLSKA NA FESTIWALU

FAKT, że V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów o Pokój i Przyjaźń odbędzie się w Polsce, w kraju obozu pokoju, otwiera przed młodzieżą polską ogrom możliwości ukazania swojego dorobku, swoich osiągnięć i perspektyw. Dla nas, Polaków, Festiwal będzie szczególnie doniosłym wydarzeniem.

Młodzież polska nie stawi się na Festiwal z pustymi rękoma. Do rozmów i spotkań festiwalowych wniesiemy, podobnie jak młodzież innych krajów demokracji ludowej, doświadczenia dziesięciu lat dokonujących się u nas przemian społecznych, doświadczenia z trudnych dni odbudowy, odrabiania zaległości gospodarczych i budowania nowego, lepszego życia. Młodzi chłopcy i dziewczęta podzielą się z gośćmi doświadczeniami w pracy społecznej i działalności politycznej.

Jest rzeczą bardzo ważną, ażeby w treści naszego udziału w Festiwalu znalazły wyraz zdobycze młodzieży zagwarantowane przez Konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej; takie fakty społeczne jak realne prawo do pracy, liczne świadczenia socjalne, rozwój szkolnictwa powszechnego i zawodowego, opieka państwa ludowego nad młodzieżą studiującą, i wiele innych, które w sumie składają się na pojęcie społecznego awansu młodzieży, na pojęcie otwartej przed młodzieżą perspektywy, której nie posiada młodzież państw kapitalistycznych. Sprawy, które dla nas są już faktami powszechnymi, jak np. zlikwidowanie typowego dla ustroju niektórych państw kapitalistycznych zjawiska nadprodukcji i bezrobocia inteligencji, szczególnie młodej inteligencji, jak rzeczywista powszechność szkolnictwa i szeroki dostęp na wyższe uczelnie dzieci robotniczych i chłopskich — sprawy te dla bardzo wielu delegacji, które przyjadą na Festiwal są najbardziej szturmowymi hasłami ich programu. Przyniesiemy na Festiwal nasze doświadczenia w pracy społecznej nad umacnianiem gospodarczego potencjału naszej Ojczyzny, podzielimy się osiągnięciami młodzieży polskiej w walce o pokój, wynikami brygad młodzieżowych oraz pionierskiego zaciągu młodzieżowego do pracy w górnictwie i w Państwowych Gospodarstwach Rolnych, dorobkiem młodzieżowych posłów na Sejm i młodych radnych rad narodowych wszystkich szczebli, którzy aktywnie współuczestniczą w rządzeniu państwem, czy wreszcie osiągnięciami młodzieży polskiej w dziedzinie sztuki czy sportu.

Pokój i przyjaźń. Ta idea przewodnia Festiwalu, wyrażająca najbardziej szlachetne dążenia ludzkości, stała się w sposób oczywisty bodźcem do wzmożenia aktywności młodzieży polskiej na wszystkich odcinkach jej pracy. Intensywne przygotowania do odbywających się równocześnie z Festiwalem II Międzynarodowych Igrzysk Sportowych Młodzieży trwa we wszystkich polskich zrzeszeniach sportowych. Inspirowani przez ideę Festiwalu młodzi artyści starają się dać jej wyraz w swojej sztuce, uczynić sztukę tę jeszcze piękniejszą. Dziesiątki tysięcy zespołów artystycznych ubiegały się o prawo uczestniczenia w Festiwalu — biorąc udział w ogólnopolskich eliminacjach. Wywołana przedfestiwalowymi przygotowaniami fala wzmożonej aktywności kulturalnej młodzieży, sięgnęła jednak znacznie głębiej i szerzej. Trafiła do każdej szkoły, do każdej fabryki i do każdej wioski, zainicjowała wiele ciekawych zajęć świetlicowych, dyskusji i konkursów.

Odzew, z jakim spotkały się hasła festiwalowe wśród młodzieży polskiej nie ograniczył się jedynie do problematyki kulturalnej. Okres przygotowań do Festiwalu zapoczątkował również wśród młodzieży polskiej szlachetną rywalizację o najlepsze wyniki produkcyjne. Tysiące młodych robotników i chłopów podjęło już na cześć Festiwalu zobowiązania, włączając się do ogólnonarodowej walki o całkowite i przedterminowe wykonanie zadań gospodarczych końcowego roku planu sześcioletniego.

W kopalniach i hutach, na rusztowaniach budujących się nowych domów i obiektów przemysłowych, na spółdzielczym polu i w kreślarni, za ladą sklepową i przy krawieckiej maszynie — młodzież uczy się rozumieć ścisły i trwały związek, który istnieje pomiędzy jej pracą, jej wkładem w socjalistyczne budownictwo a walką postępowej młodzieży świata o swoje prawa i o wolność narodową i społeczną. Dopiero takie spojrzenie na zagadnienie „czynu festiwalowego" pozwala stwierdzić słuszność tezy, że Festiwal to nie tylko Warszawa, że Festiwal, to wszystkie miasta i wsie, że nie chodzi tu tylko o zagadnienie dwu tygodni Festiwalu, lecz o coś znacznie szerszego, czego na pewno nie da się określić w jakimś mniej lub bardziej wąskim okresie czasu — chodzi o przeżycie. Maksymalna autentyczność tego przeżycia na pewno pomoże rozstrzygnąć wiele spraw trudnych, na przykład skomplikowane zagadnienie wychowania na tle mnożących się aktów chuligaństwa i bezideowości części młodzieży.

Równocześnie nasza praca popularyzująca ideowe założenia Festiwalu winna przeciwdziałać pojawiającym się tu i ówdzie wrogim plotkom, sztucznemu, szowinistycznemu podsycaniu rzekomych antagonizmów między narodami itp. Pamiętać musimy, że są siły, którym międzynarodowe zbliżenie młodzieży o pokój i przyjaźń, odbywające się w stolicy kraju będącego demokracją ludową, jest bardzo nie na rękę. Będą one starały się zrobić wszystko, ażeby zbliżenie to dyskredytować. Pamiętać musimy również, że są to te same siły i ośrodki, które od dziesięciu lat starają się bezskutecznie siać w naszym kraju ferment, niezadowolenie, atmosferę niepewności itp. Dlatego też postulat czujności konieczny ze strony wszystkich obywateli w stosunku do tych wrogich zamierzeń powinien również i w naszej działalności obowiązywać.

NASZE ZADANIA

RUCH społecznie postępowy katolików polskich od dawna sprecyzował już swoje aktywne stanowisko wobec idei walki o pokój i przyjaźń między narodami, dając mu wyraz zarówno w publikacjach, jak też przede wszystkim w konkretnym społecznym działaniu. Stanowisko to wynika z całokształtu naszych przekonań światopoglądowych i ideowo - politycznych. Jest więc rzeczą oczywistą, że zarówno w kampanii przygotowawczej, jak i na samym Festiwalu nie powinno zabraknąć młodych, społecznie postępowych działaczy katolickich. Szeroka platforma Festiwalu, jaką jest właśnie pokój i przyjaźń młodzieży całego świata, bez względu na różnice światopoglądowe — stwarza dla naszego udziału uzasadnioną podstawę. Jako uzupełnienie dodać należy doświadczenia i obserwacje przekazane nam przez kolegów, którzy reprezentowali nasz ruch na poprzednich Festiwalach jako członkowie delegacji polskiej.

Z faktu naszego udziału w Festiwalu, oraz udziału w pracach przygotowawczych, płynie dla ruchu społecznie postępowych katolików polskich szereg konkretnych zadań. Należy w ciągu sześciu tygodni, które dzielą nas od Festiwalu, zbliżyć jeszcze bardziej ideę Festiwalu do świadomości jak najszerszego kręgu młodych katolików zarówno w kraju, jak i wszędzie tam za granicą, gdzie dociera nasz dorobek ideologiczny. Należy w tym okresie wzmóc propagandę haseł Festiwalu tak, ażeby dotarły one za pośrednictwem naszej prasy i naszego oddziaływania bezpośredniego do wszystkich ludzi wierzących w Polsce. Hasła festiwalowe umocnią ich przekonanie o słuszności drogi współpracy i współdziałania w realizowaniu spraw obiektywnie słusznych wraz z ludźmi o odmiennym światopoglądzie, na zasadzie wzajemnego poszanowania odrębności światopoglądowej i pełnej jedności programu działania w dziedzinie ekonomiczno-społecznej.

Pisaliśmy wyżej o zakrojonych na szeroką skalę przygotowaniach do Festiwalu młodzieży polskiej, o tym, że hasła festiwalowe stały się treścią jej pracy codziennej. Polska młodzież katolicka nie powinna i nie żyje w getcie katolickim, a przeciwnie, pracuje i dojrzewa w społeczeństwie. Dlatego też nie potrzeba po raz drugi precyzować odrębnych zadań katolickiej młodzieży społecznie postępowej. Jedynie tam, gdzie problem ten jest rzeczywiście specyficzny, jak na przykład na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, na Akademii Teologii Katolickiej, Seminariach Duchownych i w katolickich szkołach średnich — tam zadanie dotarcia z problematyką festiwalową musi być przez nasz ruch podjęte jak najprędzej.

Nieco odrębna skala zadań rysuje się przed społecznie postępowym środowiskiem katolików polskich w związku z zapowiedzianym przyjazdem na Festiwal wielu delegacji młodych katolików z całego świata. Jesteśmy świadomi tego, że ruch nasz w wielu sprawach, zwłaszcza w zakresie przemyśleń ekonomiczno - społecznych oraz w zakresie ich realizacji ma w stosunku do zagranicznych środowisk katolickich charakter pionierski. Jest sprawą zrozumiałą, że ambicją naszą będzie podzielenie się z naszymi gośćmi dotychczasowym dorobkiem, podobnie jak we wszystkich innych sprawach zrobimy to wraz z całą młodzieżą polską w stosunku do wszystkich uczestników Festiwalu. Wreszcie ostatnim, najważniejszym i najszerszym zadaniem stojącym przed całym świadomym aktywem społecznym jest pobudzenie szerokich mas młodzieży polskiej do udziału w socjalistycznym współzawodnictwie, do wywalczenia możliwie konkretnych efektów ekonomicznych czynu festiwalowego.

Festiwal jest nie tylko sprawą młodzieży, ale całego kraju, całego społeczeństwa polskiego. Dlatego apel organizatorów Festiwalu o zwiększenie aktywności wszystkich organizacji społecznych w przygotowaniu Festiwalu, o zapewnienie pełnego sukcesu temu wielkiemu, międzynarodowemu spotkaniu młodych bojowników o pokój podejmuje ruch społecznie postępowy katolików polskich i jego młody aktyw.

Tadeusz Myślik
Ignacy Rutkiewicz

OSTATNI GŁOS niezakończonej DYSKUSJI

WYDAWAŁOBY się, że dyskusja na jeden z najbardziej frapujących środowiska artystyczne tematów — jakim na pewno są sprawy młodzieży, powinna jak piłka tocząca się po równi pochyłej, przybierać z czasem na sile i rozpędzie. Niestety, czytelnikowi przeglądającemu numery „Dziś i Jutro" z ostatnich miesięcy, już sama winietka zapowiadająca artykuły dyskusyjne z tej dziedziny nasuwa nienajweselsze wnioski. Mała to również pociecha, że podobnie przedstawiały się polemiki dotyczące spraw młodzieży artystycznej, a podejmowane przez inne pisma społeczno - kulturalne. Powiedzmy więc sobie szczerze, że dyskusja nasza toczyła się niemrawo. Nie było właściwie głosów, które wyrywałyby się z kręgu, słusznych zresztą, narzekań młodych na warunki bytowania studentów lub absolwentów wyższych szkół artystycznych. Najczęściej spotykany typ wypowiedzi w dyskusji, to głosy starszych o młodzieży, wypowiedzi bezwzględnie ciekawe ale nieliczne i jednostronne, a przy tym formułowane jeśli nie z pozycji „cioci na kanapie" to w każdym razie — „mądrego wujka w wygodnym fotelu". Czego więc w naszej dyskusji brakowało?

Aby na to pytanie odpowiedzieć przypomnijmy sobie, o czym w niej mówiono. A więc jeszcze o tak pięknie zwanych sprawach „bytowych". Na pewno sprawy te należą do grupy zasadniczych. Jest to bowiem zaangażowane i zdrowie i przyszłość młodego artysty. Dobrze wiemy, że przed wojną było gorzej, że dziś sytuacja młodzieży, studiującej o własnych siłach na uczelniach artystycznych jest o wiele lepsza, o czym świadczy choćby zmiana składu społecznego tej młodzieży. Nie mniej alarmujące głosy o stanie materialnym studentów ASP, czy o warunkach mieszkaniowych i przepracowaniu młodych aktorów z teatrów prowincjonalnych musiały być i są dosłyszane przez ludzi, którzy na poprawę tych warunków mogą wpłynąć, czego dowodem obrady XV-ej Sesji Rady Kultury i Sztuki w Sopocie. Ale mówiąc o warunkach pracy i bytu młodzieży artystycznej obok spojrzenia na te sprawy ze stanowiska dyktowanego po prostu najelementarniejszymi względami humanitarnymi, warto dojrzeć ich wpływ na warsztat młodego twórcy, na jego przyszłość artystyczną, na zachowanie i rozwijanie lub też marnotrawienie jego sił twórczych. Bo wszyscy wiemy już dziś, gdzie rodziły się bzdurne i szkodliwe teoryjki o sztuce kwitnącej na poddaszach, o wpływie głodu i gruźlicy na powstawanie wielkich dokonań twórczych. Oczywiście, cieplarniana atmosfera, zbyt ułatwione życie nie zawsze sprzyjają wielkim osiągnięciom artystycznym, tak często podważając morale twórców, ale dobre, prawdziwie ludzkie warunki materialne są bezwzględnie konieczne dla rozwoju młodej twórczości. Zbyt słabo, nie tylko w naszej dyskusji powiązano te dwa aspekty jednego ważkiego problemu.

Nie za szeroko potraktowano również sprawy właściwego wykorzystania możliwości twórczych młodzieży artystycznej, właściwej atmosfery twórczej, odpowiednich metod rekrutacyjnych do szkół artystycznych, a także związaną z tym konieczność popularyzowania poszczególnych dziedzin twórczości w środowiskach, w których zawód artysty był udziałem nielicznych jednostek.

Nikt z młodych nie pokusił się o przeniesienie odpowiednich fragmentów toczącej się w tym czasie wielkiej dyskusji o kulturze na grunt rozważań o młodzieży. Nie odczuwało się w naszych rozważaniach, podobnie jak w dyskusjach prowadzonych na łamach innych periodyków kulturalnych, gorących sporów o właściwą interpretację realizmu, o słuszność i społeczną przydatność różnych postaw artystycznych. Nie czuło się po prostu gorącej atmosfery poszukiwań i pasji bronienia lub przełamywania swoich indywidualności twórczych lub też kierunków, które się dla swej twórczości wybrało. Słabo zorientowany czytelnik mógł odnieść wrażenie, że ma do czynienia z młodzieżą grzecznie prowadzoną za rączkę, a przecież właśnie owa grzeczność, to często śmiertelna choroba sztuki. Nie nawołuję oczywiście do awanturnictwa artystycznego, ale nie jest zjawiskiem zdrowym, jeśli spory i dyskusje prowadzone na korytarzach, w pracowniach uczelni i kawiarniach, nie znajdują swego wyrazu w dyskusji prasowej. I tak niemal zupełnie pominięto sprawę indyferentyzmu ideowego, którego pewne przejawy, na szczęście sporadyczne, można było zaobserwować wśród młodzieży artystycznej. Nie zastanowiono się również nad wpływem światopoglądu na postawę ideowo-artystyczną młodego twórcy. Ważne dla uczelni artystycznej zagadnienie stosunku artysty-pedagoga do ucznia zostało podjęte tylko, niestety bardzo powierzchownie, przez Teresę Grykównę.

TO, że ludzie decydujący w znacznej mierze o kształcie współczesnej twórczości kulturalnej zrozumieli, a przynajmniej starają się zrozumieć, potrzeby młodych, czy po prostu „raczkujących" jeszcze współtowarzyszy w twórczości, dowodzą wspomniane już obrady Sesji Kultury i Sztuki, poświęcone szkolnictwu artystycznemu. Dlatego wydaje mi się słuszne przypomnienie, pozornie nie związanych z zasadniczym tematem artykułu, niektórych wniosków i spraw omawianych na Sesji sopockiej.

Zacznę od spraw materialnych młodzieży tych szkół. Nie było chyba głosu, który by podawał w wątpliwość, że w tej dziedzinie dzieje się nienajlepiej. Zresztą same fakty nie dopuszczały innych stanowisk. Przypomnijmy tylko wysokość stypendiów w wyższych szkołach artystycznych (260 zł miesięcznie, gdy student uczelni plastycznej wydaje na płótna i farby 100 do 150 zł), znikomą ilość miejsc w bursach, nieproporcjonalnie małą liczbę tzw. stypendiów losowych, a zobaczymy jak dobrze się stało, że zobowiązano Ministerstwo Kultury i Sztuki do uregulowania tych spraw, postulując m. in. przyznawanie słuchaczom uczelni artystycznych stypendiów zawodowych, a nie jak dotąd uniwersyteckich. Czekamy również na zapowiedziane organizowanie wycieczek krajowych i zagranicznych dla tej młodzieży.

Sprawy materialne nie były oczywiście jedynym a nawet czołowym tematem obrad. Przebieg dyskusji i referat zasadniczy wskazywał na to, że zagadnieniem największej wagi będzie przedyskutowanie struktury, programów, charakteru i rozmieszczenia uczelni artystycznej. Wyrażone w referacie dyr. Załuskiej, co prawda ostrożne, tendencje Centralnego Zarządu Szkół Artystycznych do ograniczenia, jeśli nie ilości, to zakresu działania i struktury niektórych podlegających CZSA uczelni, nie spotkały się z aprobatą Rady. „Ocalały" w ten sposób wyższe szkoły muzyczne jako uczelnie wyższe, a dwie z nich, zgodnie z propozycją referentki, przemienione zostaną prawdopodobnie na szkoły typu akademickiego. Zajęto się również kwestią opracowania programu i powołania rad programowych przy Centralnym Zarządzie lub Radzie Kultury i Sztuki dla niektórych dziedzin szkolnictwa artystycznego, nie przekreślając możliwości dalszego kształtowania własnej indywidualności przez poszczególne uczelnie. Jest to tym ważniejsze, że niektóre z nich, jak np. WSSP w Sopocie taką indywidualność już od dawna sobie wypracowały.

Ze sprawą wewnętrznej struktury uczelni, zrewidowania zakresu działalności i zadań katedr łączy się również problem bezpośredniego kształtowania przyszłego artysty przez pedagoga, którym zazwyczaj bywa wybitny twórca. Trafne spostrzeżenie Mariana Wnuka, że nie zakłady i katedry, ale właśnie osobiste oddziaływanie indywidualności twórczej pedagoga kształtuje twórczość ucznia, jest chyba poparte przykładami nie tylko zaczerpniętymi z historii sztuki.

Spośród tych kilku wybranych fragmentów obrad XV Sesji przypomnieć jeszcze warto dyskusję na temat nadprodukcji artystów. Oczywiście, sprawę upraszczam, upraszczano ją zresztą i podczas obrad, bo przecież nie może być mowy o jakiejkolwiek „produkcji" twórców. Mówić możemy tylko o ich ukształtowaniu, o udoskonaleniu ich warsztatu. Ale niemniej sam problem istnieje, choćby w płaszczyźnie ekonomicznej. Należy przecież znaleźć środki dla wykorzystania wiedzy i umiejętności oraz umożliwienia egzystencji między innymi 3.600 studentów uczelni artystycznych. Najgorzej pod tym względem przedstawia się sytuacja plastyków. Odpowiednie warunki pracy mogą im zapewnić w pewnym stopniu ustawy o ochronie zawodu plastyka czy o zatrudnieniu plastyków w przemyśle. Dokonać tego może również zatrudnienie artystów w ruchu amatorskim, w szkołach średnich, osiedlanie się ich w mniejszych ośrodkach, spragnionych przypływu ludzi, którzy mogliby stworzyć tam ogniska kultury. Są to wszystko cenne półśrodki. Zachodzi więc konieczność wprowadzenia innych ograniczeń, jak przynajmniej czasowego zaostrzenia kryteriów oceny przy przyjmowaniu do szkół artystycznych i udzielaniu absolutoriów. Nie trzeba chyba zaznaczać, że te konieczne ograniczenia o tyle nie przyniosą szkody naszej kulturze, o ile nie zaniedba się przy tym stosowania odpowiednich form rekrutacji, o ile troska o rozwój artystyczny każdego studenta nie będzie tylko troską typu urzędniczego. Projekt przedłużenia studiów w szkołach plastycznych do siedmiu lat, wymagając dużego zdecydowania, a nawet samozaparcia ze strony podejmującej te studia młodzieży, będzie czynnikiem hamującym dopływ do tych szkół jednostek mniej uzdolnionych, mniej zdecydowanych na obranie trudnej drogi artysty.

Obrady ostatniej sesji Rady Kultury i Sztuki charakteryzowała troska o zachowanie odpowiedniej pozycji społecznej artysty, jego godności twórczej, o uzyskanie wysokiej klasy artyzmu jego dzieł, jednocześnie wszyscy dyskutanci postulowali związek twórczości artystycznej z życiem, związek nie naruszający odrębnych praw tej twórczości, ale też i zaznaczający zasadniczy jej cel, jakim jest kształtowanie człowieka naszych czasów, — wpływ na współczesną rzeczywistość społeczną.

Wspominając o XV Sesji, nie miałem zamiaru za jednym zamachem omówić wszystkich jej problemów, wiele z nich jak na przykład sprawa wydziałów architektury i szkolenia architektów doczeka się prawdopodobnie i na naszych łamach osobnego omówienia.

KONFRONTUJĄC przebieg i wyniki obrad sopockich poświęconych sprawom młodzieży szkół artystycznych z dyskusjami prowadzonymi przez samą młodzież o swoich sprawach, zauważymy, niestety, znaczną dysproporcję nie tylko w dojrzałości rozwiązywania trudnych problemów, ale i w ich różnorodności. Dysproporcja ta jest jaskrawa i w wypadku dyskusji prasowej prowadzonej w „Dziś i Jutro". W każdym razie dyskusja o młodzieży artystycznej, mimo że obwieszczająca ją winietka zniknęła z łamów naszych pism, nie jest zakończona i trwać będzie w różnych formach dopóki istnieje sztuka.

Józef Szczawiński

Józef Conrad Korzeniowski

JERZY KRZYŻANOWSKI

POWRÓT

1. HABENT SUA FATA...

PRZYSŁOWIE łacińskie o dziwnych losach książek, które jakoś nie weszło do naszej paremiografii, rozszerzyć by można również na niektórych autorów. Bo czymże, jeśli nie „dziwnością losów" należy tłumaczyć fakt, że pisarze ogólnie uważani za twórców o światowej sławie, przez lata całe pomijani są głuchym milczeniem — by nagle, zgoła niespodzianie, doczekać się nie tylko wielkiej poczytności, lecz i pełnego uznania, popartego szeroko zakrojoną edycją dzieł, dotychczas nielicznym tylko miłośnikom ich talentu dostępnych?

Losy Conrada w naszych czasach równie „dziwnie" przypominają początki jego światowej sławy, jak i „dziwnie" świadczą o powolności decyzji tzw. kompetentnych czynników kierujących polityką wydawniczą. Nim więc przejdziemy do szerszego omówienia przyczyn, które złożyły się na tę opieszałość w przyswajaniu polskiemu czytelnikowi dzieł polskiego pisarza piszącego po angielsku, zwróćmy uwagę na dwa symptomatyczne wydarzenia, próbując od razu przeprowadzić niemniej symptomatyczne porównanie, którego wnioski pozwolą — być może — spojrzeć z optymizmem na przyszłość Conrada w Polsce.

Oto w kwietniu br. ukazuje się w nakładzie 20.000 egzemplarzy „Los" — po raz pierwszy w ogóle udostępniony naszemu czytelnikowi w wydaniu książkowym. Nakład rozchodzi się błyskawicznie i już dziś stanowi rzadkość księgarską.

Wydarzenie drugie: w maju br. PIW zapowiedział wydanie 12-tomowego wyboru dzieł autora „Losu", obejmującego najwybitniejsze jego utwory.

Spróbujmy pokrótce zastanowić się, czy dziwna zbieżność historyczna, o której za chwilę szerzej, sprawiła, że tak u nas, jak przed czterdziestu laty w Anglii, ta stosunkowo słaba — w porównaniu z innymi dziełami Conrada — powieść spowodowała przełom w popularności pisarza? Czy nie kryją się za tym przyczyny inne, głębsze niż gust czytelników? A jeśli tak — czy przyczyny te były i są w dalszym ciągu słuszne?

Chcąc odpowiedzieć na te pytania przyjrzyjmy się najpierw „Losowi", by potem, nie tylko na tym jednym przykładzie, spróbować udowodnić, że niechęć naszych wydawców do Conrada, odwrotnie proporcjonalna do zamówienia czytelniczego, słusznie została przełamana, zarzuty bowiem sprzed lat dziesięciu, które legły u jej podstaw straciły swą aktualność, co z niemałym zadowoleniem wyczytaliśmy w wypowiedzi Jana Kotta opublikowanej w ankiecie „Nowej Kultury".

2. U ŹRÓDEŁ POPULARNOŚCI

W DOROBKU pisarskim Conrada „Los" zajmuje miejsce szczególne. Już tytuł książki, który w zasadzie mógłby być tytułem każdej prawie jego powieści, każe zwrócić baczniejszą uwagę na intencję autora, tu właśnie podnoszącego sprawę losu do najwyższego znaczenia.

„Los" napisany został w 1913 r. jako siedemnasta książka prawie nieznanego autora, od osiemnastu już lat piszącego — jak sam wyzna — pod wpływem tajemnego impulsu. W okresie tym stworzył takie arcydzieła, jak „Murzyn z załogi Narcyza" — wielka pieśń o bohaterstwie prostych ludzi walczących z potęgą morza, „Lord Jim" — tragiczna opowieść o człowieku odrzuconym przez społeczeństwo, kilka zbiorów opowiadań — wśród nich rzecz najwyższego lotu, jak np. „Karain" czy „Gaspar Ruiz" — a przecież ciągle jeszcze pozostał pisarzem, jak go określano, morskim, egzotycznym, czytywanym przez niewielu entuzjastów jego talentu bądź też miłośników literatury marynistycznej. Dopiero „Los" otworzył pisarzowi drogę do sławy.

Postępowy tygodnik literacki „The New Age" ogłosił mianowicie wśród czytelników ankietę na najlepszą powieść ostatniego okresu. Olbrzymia większość głosów padła na „Los", co przy wielkim nakładzie tygodnika kształtującego w znacznej mierze opinię literacką Anglii oznaczało nie tylko popularność, ale znakomite perspektywy w przyszłości. Warto dodać, że „Los" stał się pierwszą książką Conrada, która osiągnęła roczny nakład 5.000 egzemplarzy.

W tym samym mniej więcej czasie w Ameryce wzrosło zainteresowanie morskimi opowieściami Conrada, czytelnicy poczęli domagać się wznowień i nowych jego książek.

Tak oto sława, która od lat czterdziestu otacza dzieła Conrada powstała z głosów opinii publicznej, ugruntowała ją zaś rosnąca poczytność nowych jego powieści, sięgających najwyższych szczytów myśli i sztuki. W niedługim czasie powstaje „Zwycięstwo", po dwudziestoparoletniej przerwie podjęte „Ocalenie" i niezapomniany „Korsarz".

W Polsce zainteresowanie Conradem datuje się od lat mniej więcej trzydziestu. Z inicjatywy Stefana Żeromskiego podjęto zbiorowe wydanie, różne przechodzące koleje, po nim drugie, przerwane w końcu wybuchem wojny 1939 roku i nie zawierające „Losu".

I właśnie „Los" był jedną z pierwszych powieści Conrada tłumaczonych na polski, o czym Conrad zapewne nie wiedział. Już bowiem w roku 1921 krakowski „Czas" rozpoczyna druk powieści w odcinkach, w anonimowym tłumaczeniu (prawdopodobnie Barbary Beaupré) wiele pozostawiającym do życzenia, jedynym jednakże do niedawna polskim przekładzie tej książki.

Toteż gdy po czterdziestu latach otrzymujemy tę przełomową pod pewnym względem — tak dla dalszej twórczości Conrada, jak i dla jego losów w Polsce — powieść, warto zastanowić się nad jej znaczeniem społecznym i artystycznym, jak również nad rolą jej w rozwoju literackim pisarza.

3. „PANNA" I „STATEK"

PO cyklu powieści z archipelagu malajskiego, przez wiele lat zaprzątającego wyobraźnię autora, Conrad postanowił przenieść się na teren bliższy — do Anglii. Nie bez wpływu pozostały głosy krytyki i doprowadzająca do pasji etykietka pisarza egzotycznego, morskiego. Daremnie tłumaczył, że nie pisze o morzu ani o dalekich krajach, że tematem jego wszystkich książek bez względu na teren akcji jest człowiek — i tylko człowiek z wszystkimi przeżyciami, skomplikowaną psychiką i ciążącym nad nim losem. Skoro zawodziły wyjaśnienia, postanowił przemówić językiem godnym pisarza — książką.

Pierwsze próby „powrotu do Europy" nie były udane. Opowiadanie „Powrót", oparte wyłącznie na zawiłościach psychologicznych, jeszcze po latach wywoływało niezadowolenie autora, książki zaś takie jak „Tajny agent" czy „W oczach Zachodu" zbyt były obce — nie będąc egzotyczne — dla angielskiego czytelnika. Tym razem więc postanowił Conrad połączyć wątek współczesny — nazwijmy go europejskim — z wątkiem morskim, dzieląc powieść na dwie zupełnie wyraźnie zarysowane części, z których druga, morska, znacznie lepiej odpowiadała temperamentowi twórczemu pisarza — co od razu uderza czytelnika.

I rzecz ciekawa. Pisząc o Anglii i ludziach lądu, Conrad tak dalece pozostawał pod wpływem młodzieńczej lektury, że w rezultacie dał typy nie tylko z epoki Dickensa, lecz także na wzór Dickensa narysowane. Wystarczy porównać potężne indywidualności jak Lingard, Jim czy Nostromo z postaciami Flory de Barral lub kapitana Anthony, by stwierdzić, że bohaterowie „Losu" są stosunkowo mało „conradowscy", właśnie mało indywidualni, właśnie wyidealizowani, a nawet trochę papierowi. Dopiero gdy akcja przenosi się na morze, sylwetki ich nabierają rumieńców życia przekształcając się w pełnych ludzi, jak gdyby powiew morskiej bryzy wypełnił treścią ich blade postacie. Nawet tajemniczy pan Smith ukazuje się bez maski dopiero w kajucie spokojnie żeglującego statku „Ferndale", mącąc złowieszczym śmiechem czar letniej nocy. Nic w tym dziwnego, jeśli przypomnimy źródła, z których płynęła podnieta pisarska. Conrad poczuł się znów w swoim żywiole. I chociaż *człowiek* nie przestał być ośrodkiem jego zainteresowania, cech prawdziwie ludzkich nabrał dopiero w środowisku znanym pisarzowi najbliżej.

Pokazując życie na lądzie nie zawahał się Conrad przed obnażeniem ukrytych wstydliwie spraw świata kapitalistycznego. Nie przypadkiem losy Flory de Barral uzależnił od historii krachu finansowego jej ojca — przedstawiciela systemu pozwalającego wypływać na mętne wody operacyj bankowych oszustom żerującym na ludzkiej naiwności. A Flora — czy nie jest typowym dzieckiem swej epoki rozpieszczoną nieprzygotowaną do życia jedynaczką bogatego papy, odnajdującą siły do działania dopiero pod wpływem prawdziwego uczucia? Zwróćmy też uwagę na kapitalną postać guwernantki, tej bezwzględnie twardej i okrutnej kobiety nie wahającej się przed brutalnością wobec bezbronnego dziecka, które przestało być bogate. Te trzy przykłady wyjaśnią nam, jak bystrym spojrzeniem przeniknął Conrad olśniewające pozory kapitalistycznego społeczeństwa.

Możemy mieć wprawdzie pretensje do kapitana Anthony za jego nieskazitelną posągowość, nieomal przekraczającą ludzkie możliwości, sądzić jednak należy, iż ów marynarz, zbłąkany w gąszczu psychologicznych powikłań, musiał być właśnie taki, by tym wyraźniej pokazać kontrast między człowiekiem morza a ludźmi lądowego społeczeństwa. Jeśli więc Conrad wyidealizował swego bohatera, uczynił to świadomie, pragnąc mocno uwypuklić charakter prawdziwego marynarza. Prosty i uczciwy jest Powell, wierny i szczerze zmartwiony wewnętrzną rozterką kapitana „fanatyk przyjaźni" Fraklin — tak bowiem widział autor pracowników morza, wśród których spędził swe najlepsze lata.

Warto nawiasem dodać, iż młody Powell, spotykany w początku powieści, mówi o swym egzaminie oficerskim językiem wspomnień Conrada, przeżycia te są bowiem najwierniejszym opisem przeżyć autora z okresu, gdy składał on egzaminy starając się o stopień kapitana marynarki. Dalsze zaś przygody Powella daremnie poszukującego pracy pobrzmiewają tonem niemniej osobistym: pamiętamy dobrze, jak różnie wiodło się młodemu Korzeniowskiemu na obcej ziemi.

4. O ROCZNICACH I MILCZENIU

PRZED dwoma laty, omawiając na tym miejscu wydane przez „Pax" „Opowieści wybrane", starałem się podsumować dotychczasowy stan polskich badań nad Conradem. Dzisiaj z okazji wydania „Losu" i zapowiedzianej przez PIW 12-tomowej edycji jego dzieł sądzę, że czas już wreszcie zerwać z panującym wokół Conrada milczeniem i że — przypominając niektóre tezy tamtego artykułu — warto przemyśleć i zastanowić się, dlaczego wielki pisarz ciągle jeszcze nie zasłużył v oczach naszych wydawców i publicystów, krytyków i literatów, neofilologów i historyków literatury na miejsce, które w literaturze światowej od dawna sobie zdobył. Warto nawiasem dodać, że nasi pisarze wołający wielkim głosem o tłumaczenia Hemingwaya, Caldwella czy Steinbecka sprawiają wrażenie, iż nigdy nie słyszeli, że na długie lata przed „Starym człowiekiem i morzem" świat zachłystywał się pięknem „Tajfunu" czy „Murzyna z załogi Narcyza".

Pewien asumpt do podsumowania dzisiejszej sytuacji, powstałej wokół Conrada mogą dać dwie rocznice, których w sierpniu ubiegłego roku nikt — poza prasą katolicką — zauważyć nie zechciał.

Dnia 3 sierpnia 1924 r. zmarł jeden z najciekawszych pisarzy świata Józef Konrad Korzeniowski pisujący pod nazwiskiem Joseph Conrad.

Dnia 31 lipca ub. roku minęło czterdzieści lat od jego ostatniej wizyty w Polsce, do której przez całe swe burzliwe życie tęsknił i o której pisał w liście do K. Waliszewskiego: „Jeśli Pan zechce mi wierzyć na słowo, to niech Pan powie, że w ciągu moich żeglug po globie ziemskim nie oddalałem się nigdy ani myślą, ani sercem od mojego kraju rodzinnego i spodziewam się być tam przyjęty jako rodak mimo mojego anglicyzmu".

W bogatym dorobku wydawniczym Polski Ludowej Conrad zajmuje pozycję tak nikłą w porównaniu ze światową sławą, która jego nazwisko od czterdziestu lat otacza, że faktu tego nie podobna przemilczeć. Spośród dwudziestu ośmiu tomów powieści i zbiorów opowiadań wydano zaledwie siedem tytułów; oprócz trzech rozpraw (z których jedna stała się raczej „rozprawą z Conradem" — o czym niżej) i kilkunastu rozsianych po czasopismach artykułów może ciekawą książką „O Konradzie Korzeniowskim" pióra Józefa Ujejskiego, bibliografia zaś wymienia bardzo pokaźną liczbę esejów, artykułów, recenzji, notatek itp. świadczących o żywym zainteresowaniu opinii literackiej i czytelniczej. Wybuch wojny w r. 1939 tragicznie przerywa pracę Rafała Blütha nad obszerną książką o Conradzie.

Dopiero po wyzwoleniu zapada owa niepokojąca cisza wywołana artykułem Jana Kotta „O laickim tragizmie" ogłoszonym w „Twórczości" już we wrześniu 1945 r., a następnie włączonym do tomu „Mitologia i realizm". I odtąd, choć coraz śmielej sięga się u nas w przeszłość, z której wydobyć można ciągle nowe wartości — czego przykładem liczne wznowienia „nieznanych" i „zapomnianych" pisarzy — nasza wiedza o Conradzie, znajomość jego dzieła i życia stoi u schyłku minionego dziesięciolecia coraz uboższa, coraz cichsza, bo zagłuszona ogniem literackich dyskusji i polemik.

Milczenie panujące wokół Conrada stało się sprawą groźną, sprawą, która wymaga rozpędzenia dusznej atmosfery strumieniem świeżego powietrza pachnącego morzem i gorącym wiatrem.

W JEDNYM z zeszłorocznych numerów „Nowej Kultury" Andrzej Braun pisząc o stanowisku Kotta wobec literatury nazywa go m. in. „efektownym śmiałkiem... który zlikwidował dla narodu polskiego Conrada". Jest w tym krótkim zdaniu całkowita ocena powojennej sytuacji, jaka wytworzyła się wokół Conrada — sytuacji spowodowanej jednym artykułem sprzed dziesięciu lat. Od czasu bowiem ogłoszenia pracy Kotta powstało dokoła Conrada to, co nazwaliśmy „duszną atmosferą" — całkowite niemal pomijanie jego osoby i twórczości tak w produkcji wydawniczej, jak w literackich pracach i dyskusjach. Wyłomy czynione przez prasę katolicką nic w tej sytuacji nie zmieniły, gdyż cała pozostała prasa literacka przestała o Conradzie w ogóle pamiętać.

„Conradowska wierność samemu sobie — konkluduje Kott — jest w rzeczywistości, w konkretnej rzeczywistości społecznej, posłuszeństwem prawom świata, którym się wewnętrznie gardzi, odrzuceniem prawa do buntu. Conradowska wierność samemu sobie jest wiernością niewolników, niewolnikiem jest bowiem ten, kto słucha pana, którym pogardza i troszczy się jedynie o swą wewnętrzną prawość. I myślę, że dlatego właśnie pisał Zygmunt Jaworzyna: „Kiedy patrzę na bohaterów Conrada zaczynam rozumieć, jak trudno będzie zbudować społeczeństwo socjalistyczne". Znacznie bowiem społecznie groźniejsze od wewnętrznej pychy i duchowego samotnictwa bohaterów Conrada jest ich ślepe posłuszeństwo wielkim armatorom tego świata. Z zawodowej moralności kapitana okrętu nie wolno czynić kodeksu postępowania człowieka wolnego. Ani wierność, ani honor nie są same dla siebie wartościami moralnymi. Osądzi je, jak wszystko na tym świecie, historia".

Tak brzmi ostateczny wywód, ów — powiedzmy szczerze — nagrobek, który zamknął dzieła wielkiego pisarza i przed dziesięciu laty przywalił je ciężarem potępienia.

W artykule swym Kott przytacza jako przykład „wiernego samemu sobie" kapitana Mac Whirra z „Tajfunu", określając jego postępowanie mianem „heroizmu głupoty, heroizmu osła ciągnącego wóz po podminowanym moście". Można się spierać czy te malownicze epitety pasują właśnie do tępawego kapitana, który mimo ograniczonego umysłu wyprowadza swój statek z jądra tajfunu na pewno nie tylko dla właścicieli firmy, lecz przede wszystkim z poczucia *odpowiedzialności* za ludzi i ładunek, odpowiedzialności kapitana, któremu ktoś — rzecz najzupełniej obojętna, czy firma prywatna, czy państwowa — *powierzył* doprowadzenie statku do portu najkrótszą drogą. Można się spierać, czy w następnym z cytowanych przykładów — paradnym zwijaniu żagli na tonącym statku w opowiadaniu „Młodość" — należy dostrzec tylko to, co Kott porównuje do nauki musztry w bombardowanej Warszawie, skoro o kilkanaście wierszy dalej, przytaczając scenę ratowania niepotrzebnego sprzętu kosztem omal że nie życia, nie dostrzega w niej — a przynajmniej nie cytuje — gryzącej ironii, z jaką Conrad osądza starego kapitana za taki właśnie „ośli heroizm". *Nota bene* wybór cytatów przeprowadził Kott bardzo dowcipnie, pieczołowicie omijając sceny i całe nieraz dzieła, które mogłyby przeszkodzić udowodnieniu założonej tezy.

Oto przykład pierwszy z brzegu. Stary Peyrol, korsarz i morski włóczęga, poświęca własne spokojne życie — przyjaźń, dostatek, dom w odnalezionej u schyłku lat ojczyźnie — dla ocalenia miłości dwojga ludzi zupełnie mu obojętnych. Naprawdę, niewiele w tym ślepym pędzie „ślepego posłuszeństwa". A ulubieniec Conrada, Tom Lingard, rzucający wszystko — sławę, majątek, znaczenie — dla odbudowania królestwa dwojga malajskich przyjaciół, czy również należy do „służących pana, którym pogardza"? „Basn Lingarda — powiada Kott — z czasów młodości człowieka osądzona zostaje tak, jak przedtem podróż do piekieł w „Jądrze ciemności". I tylko tyle o przerażającym, realistycznym utworze, jakim jest obraz kapitalistycznego podboju Afryki przez belgijskich eksploatatorów, któremu Conrad poświęci jeszcze niemniej bezkompromisową, oskarżycielską „Placówkę postępu". Oba te opowiadania, świadectwo prawdy i namiętne oskarżenie systemu kolonialnego, jak również znakomity „Wspomnik", ukazujący bez osłon stosunki wiecznego prawa zysku rządzące kapitalistycznym społeczeństwem, czy wreszcie „Los", pełen gryzącej ironii, o partiach przypominających najlepsze stronice klasyków angielskich, jakoś nie zmieściły się w wywodach potępiających Conrada. Czyżby przypadkiem?

Wydaje się, że oceniając twórczość pisarza, osądzając jego postawę moralną w sposób tak kategoryczny, iż konsekwencje — jak wspomniano — pozbawiają na długie lata prawa mówienia o jego dziełach, należy z równą siłą powiedzieć „przeciw", co „za". Krytyka jednostronna jest jednak najczęściej krytyką niesprawiedliwą.

Długo można by w ten sposób dyskutować o przytoczonym artykule, zbijając jedne, potwierdzając lub łagodząc inne tezy. Nie o to jednak chodzi i dlatego ograniczyłem się do szerszego cytatu samej konkluzji wykazując, że w owym argumencie zasadniczym („ślepe posłuszeństwo wielkim armatorom tego świata") nie mieści się cały Conrad, że głęboko niesłuszne jest zamknięcie jego twórczości pod kamienną płytą z ponurym cokołem, na którym napis głosi: „tragizm — pesymizm — i beznadziejność".

Warto nawiasem dodać, że gdy Ujejski w swej książce zastanawia się, co pociągnęło go do studiowania Conrada, stwierdza, iż tak rażący Kotta pesymizm jest bardzo względny. Że „płynie z ducha tej twórczości jakaś siła, która zaczyna wywierać na mnie wpływ zupełnie inny niż ten, któremu ulegałem pierwotnie — siła w całym znaczeniu tego słowa żywotna, afirmująca niektóre wartości życia tak zdecydowanie, że wszystkie negacje stają się w końcu w jej promieniach mniej twarde i mniej deprymujące, a ją samą, prawem kontrastu, mogą uprzytomnić tym jaśniej". A dalej słowa samego Conrada: „groza, miłość, uwielbienie lub nienawiść — jeśli chcecie — tylko nigdy rozpacz".

Pomimo bowiem pozorów pesymizmu, wyrażających się przede wszystkim w konstruowaniu losów ludzkich na sposób szekspirowski, w formie przyrównywanej przez krytyków do tragedii antycznych — dzieło Conrada nie wywołuje uczucia beznadziejności i przygnębienia. A tragizm nie przygnębia, lecz budzi w czytelniku pełną świadomość, że pozorny upadek bohatera w istocie rzeczy staje się jego zwycięstwem (stąd tytuł jednej z najpiękniejszych powieści Conrada) bądź też jest naprawdę upadkiem zasłużonym, sprawiedliwym i koniecznym (jak np. w szeregu opowiadań).

Minęły lata, artykuł Kotta w szczegółach zapomniano, pozostałą

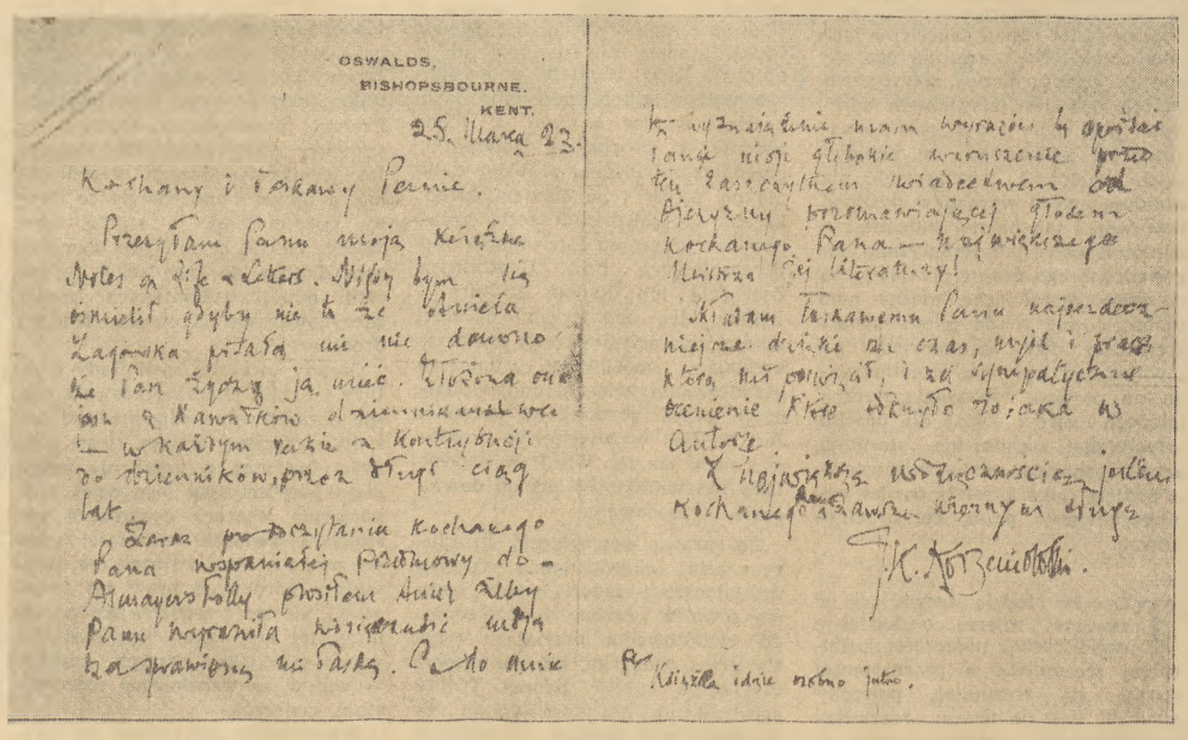

OSWALDS,
BISHOPSBOURNE.
KENT.
25. Marca 23.

Kochany i Łaskawy Panie.

Facsimile listu Conrada do Stefana Żeromskiego

CONRADA

natomiast „atmosfera" wytworzona wokół pisarza, atmosfera — jak to staraliśmy się wykazać — niesłuszna i szkodliwa. Wielkie bowiem dzieła, to mają do siebie, że stoją ponad mgiełkami chwilowych atmosfer przyciągając wzrok i serca ludzkie niby „skaliste i zaśnieżone szczyty Higueroty", które samego nawet Kotta urzekły fascynującą potęgą.

6. WŚRÓD LUDZI

PROBLEM „obcości ideologicznej", wyłaniający się spoza krytyki systemu filozoficznego, każe zastanowić się chwilę nad osobą Conrada, pozwoli bowiem na zrozumienie stanowiska pisarza wobec życia i jego trudnych zagadnień. I skoro historia osądzić ma sprawy wierności i honoru, niech już dzisiaj spróbuje osądzić postępowanie człowieka, który raczej na najsurowszy sąd niż głuche milczenie zasłużył. My, którzyśmy w młodości przeszli ciężką próbę niewoli i okupacji, może łatwiej zrozumiemy, jak trudno było dostrzec wśród chaosu pojęć i wartości drogę temu, kto od dzieciństwa przywykł do goryczy, rozczarowań i rozpaczy, barwiących jego dzieła do ostatnich niemal lat życia.

Gdy ojciec pisarza, Apollo Korzeniowski, zesłany zostaje za udział w przygotowaniu powstania, towarzyszy mu żona i sześcioletni synek. Wszystko dokoła zdaje się rozpadać w gruzy, skazane na zagładę, bez nadziei, bez jutra. Wuj Conrada, jeden z przywódców „czerwonych" w powstaniu 1863 r. Stefan Bobrowski, ginie w sprowokowanym pojedynku; matka chłopca umiera na wygnaniu; osamotniony i zgorzkniały ojciec jest jedynym towarzyszem dziecka patrzącego szeroko otwartymi oczyma na tę zagładę wszystkich wartości. Wkrótce po powrocie do kraju umiera i Apollo, chłopiec zostaje sam w obcym prawie Krakowie, bez rodziny, bez opieki, bez jednej przyjaznej duszy, która umiałaby wskazać chociaż cień nadziei. Kilkunastoletni chłopak decyduje się na czyn niezrozumiały dla otoczenia — rusza jako prosty marynarz na morze, niknąc na długie lata w tłumie francuskich pilotów, włoskich przemytników i angielskich żeglarzy. A że coś z tych rewolucyjnych tradycji rodzinnych w nim pozostało — świadczy nie tylko osobisty udział w szmuglowaniu broni do powstańczego Meksyku i walczącej Hiszpanii (bez wyboru wprawdzie, gdyż Conrad dostarcza broń ostatniemu pretendentowi do hiszpańskiego tronu, o czym z ironią wspomni w „Złotej strzale"), lecz także późniejsze opowieści, jak znakomity „Gaspar Ruiz", przykład ludowego bohatera i przywódcy partyzantki, czy „Książę Roman" i całe rozdziały autobiograficzne „Ze wspomnień".

Pamiętajmy, że prócz wątpliwej wartości rad wuja Tadeusza Bobrowskiego, starego konserwatysty i człowieka dalekiego od postępowych poglądów, nikt nie pomaga chłopcu kształtować poglądu na świat. Wszystko — począwszy od języka, a skończywszy na koncepcji świata i moralności — Conrad zdobywa sam, własnym trudem, własnym rozumem. U podstaw zaś leży pamięć o katastrofie rodzinnej, o tragicznych skutkach walki z istniejącym systemem, opłaconej śmiercią rodziców. *Coś* trzeba było z tego chaosu ocalić, na *czymś* trzeba było oprzeć pojęcia o otaczającym świecie i ludziach — prostych i surowych marynarzach zdyscyplinowanej floty. I jeśli przyjmiemy, że tą podstawą stały się pojęcia wierności, poczucia obowiązku, honoru wreszcie — bez trudu dojdziemy do źródeł późniejszej twórczości, na tych samych opartej podstawach.

Conrad daleki jest od bezkrytycznej wierności pachołka tej czy innej firmy, ale ma silne poczucie obowiązku i dyscypliny, bez tych bowiem elementów trudno wyobrazić sobie służbę na morzu. Wychowany nie na teoretyzującej literaturze i akademickich dyskusjach, lecz w bezwzględnej szkole morza — dwadzieścia lat żyje takimi zasadami, a potem, gdy miast sterowego koła ujmie w rękę pióro, zasady te wraz z bolesną pamięcią powstańczej tragedii rodziców ukształtują świadomość pisarza. Toteż w utworach swych w zasadzie nie będzie wracał do kraju, na który spoglądać będzie jak na wizję najdroższą, lecz pogrzebaną na zawsze, w psychice ludzkiej szukając najciekawszych tematów, godnych olbrzymiego wysiłku, z jakim tworzył. *Człowiek*, dusza ludzka, przeżycia samotnego bohatera zmagającego się ze złem, słabością, żywiołem wreszcie — oto wiecznie aktualne tematy, którym poświęci swój wielki talent. Będzie więc pisał o „niezniszczalnym morzu, okrętach, których już nie ma i prostych ludziach, co swoje przeżyli", będzie ścigał wizje najlepszych lat młodości, wśród zamętu losów własnych i huku podzwrotnikowych burz odnajdując jedną niewzruszoną wartość: wierność samemu sobie. I za to nie należy go potępiać.

Mało kto dziś pamięta, że „Lord Jim" — projektowany początkowo jako niewielka opowieść — rozrósł się do potężnych w swym tragizmie rozmiarów rozprawy z własnym życiem pod wpływem listu Elizy Orzeszkowej, która na wieść o polskim pochodzeniu Conrada zarzuciła mu zdradę i odstępstwo od narodu; jej artykuł „O emigracji talentów" był jeszcze jednym ciosem uderzającym w człowieka, któremu od dzieciństwa los nie szczędził zawodów zdolnych zachwiać poglądami mocniejszymi niż pojęcie wewnętrznego ładu wypracowane w trudnych warunkach marynarskiego żywota.

„W rzeczywistości — pisze Kott — Conrad podejmuje w tej powieści... spór o „prawdziwą istotę życia", o „możność wymierzania sprawiedliwości widzialnemu światu", rozwikłanie i osądzenie, „splotu sprzeczności w naturze ludzkiej, która naszej miłości nadaje rozpaczliwy wygląd zdrady". Inny znów krytyk, angielski wyznawca Freuda, usiłuje aż do nonsensu wytłumaczyć konflikt powieści psychoanalitycznymi powikłaniami („Patna" — to Polska, Jim — to Conrad opuszczający ją w niebezpieczeństwie itp.). Parandowski w przedmowie do „Złotej strzały" książkę tę nazwie „srogim, wspaniałym pobojowiskiem tej walki". Wydaje się, że w świetle młodzieńczych przeżyć i niezasłużonego zarzutu zdrady trudno interpretować „Lorda Jima" jako świadectwo „laickiego tragizmu — niemożności wyrażenia pełnej zgody na rzeczywistość, zawierzenia historii, moralnego przyjęcia świata takim, jakim jest" (Kott).

A jeśli nawet zgodzimy się, że sprawy ostatniej decyzji Jima Conrad rozwiązać nie umiał, że zrezygnował z ukazania go w ostatecznej walce przeciw losowi, każąc opuścić ręce i przyjąć śmiertelny cios jako karę za popełnione niegdyś tchórzostwo, zesłaną w postaci satanicznego Browna, to pamiętajmy, że w dwadzieścia lat później, w ostatniej z ukończonych powieści, Conrad pokaże starego korsarza, jak z uśmiechem kona przy wtórze marynarskiej komendy, osiągnąwszy najwyższe szczęście człowieka — poświęcenie własnego życia dla innych. O tej znamiennej ewolucji również zapominać nie wolno.

7. JESZCZE O WARTOŚCIACH

„TE niezniszczalne wartości prawdy artystycznej, które należy odczytać z dzieł Conrada — zwycięstwo człowieka nad żywiołem, poczucie obowiązku i uczciwości, nieustępliwość w walce z przeciwieństwami (że tylko niektóre wymieniłem) — powinny pozostać na stałe w naszej literaturze mądrym komentarzem, wyjaśniającym czytelnikowi, dlaczego tak właśnie pisał autor „Opowieści niepokojących". Bohaterstwo a nie „heroizm głupoty" bije z kart „Murzyna z załogi Narcyza", bohaterstwo zwykłych, prostych marynarzy walczących z potęgą morza aż do wspaniałego zwycięstwa.

Stronice „Ocalenia" przenoszą nas we wspaniały świat archipelagu malajskiego, zaludniony żywymi, walczącymi o swoje prawa ludźmi, z których jeden powie o białych kolonizatorach: „Ja was znam. Tak właśnie przemawiacie nabijając wasze strzelby i ostrząc wasze miecze; a kiedyście gotowi, wówczas mówicie do tych, co są słabsi: Słuchajcie nas i bądźcie szczęśliwi lub umierajcie! Dziwni jesteście, wy biali. Myślicie, że tylko wasza mądrość i wasza cnota, i wasze szczęście są prawdziwe. Jesteście silniejsi od dzikich zwierząt, ale mniej od nich mądrzy. Czarny tygrys wie, kiedy zaspokoił swój głód — a wy nie wiecie. Tygrys zna różnicę między sobą a tymi, co umieją mówić; wy nie rozumiecie różnicy między wami a nami — którzy jesteśmy ludźmi. Jesteście mądrzy i potężni — i będziecie zawsze głupi". („Wykolejeniec").

A czyż nie zasługuje na przypomnienie ów — jakże typowy — przedstawiciel „białych władców", Willems, ponury przeżytek lat brytyjskiego i holenderskiego samowładztwa? Gdzie można spotkać postać wymowniejszą w kacykowatej dumie i szatańskiej złośliwości niż Heemskirk („Freja z siedmiu wysp"), nadęty pyszałek i tyran? Lub tak niedwuznaczną ocenę sztywnego konwenansu klasy bogatych i próżnych głupców jak w „Plantatorze z Malatty"?

Conrad dawał się uwodzić urokom psychologizmu i niepotrzebnego bohaterstwa; nie wszystkie jego postacie mogą być dla nas wzorem postępowania, umiejmy jednakże odczytać wartości prawdziwego realizmu wśród tragicznych dziejów ludzi zmagających się z własnym losem. Umiejętność (lub nieumiejętność) opanowania własnego losu — oto co pozwala odnaleźć w Conradzie najwyższe wartości zasługujące na przyswojenie naszym czytelnikom.

Dzisiaj, gdy zmurszały system kolonialny rozpada się pod potężnymi ciosami ludów, chwytających za broń w walce o wolność, gdy spod imperialistycznego ucisku wyłaniają się nowe państwa, a kolorowi mieszkańcy wysp i archipelagów zasiadają do stołu obrad wraz z przedstawicielami państw kolonizatorskich i upominają się o należne prawa głosem ludzi równych i wolnych, warto przypomnieć, że już przed kilkudziesięciu laty Conrad — jedyny wśród piszących po angielsku — wprowadził do literatury światowej Karaina czy Lakambę, Bel Araba czy Aissę nie jako tło dla podkreślenia władczej roli białych, lecz jako ludzi im równych — kochających i nienawidzących, politykujących i walczących, bohaterskich i zdradliwych — słowem *ludzi*, pełnych, żywych, niezapomnianych. Był to okres, w którym Kipling utworami o tematyce kolonialnej lansował pojęcie imperium brytyjskiego, a Multatuli zwany „holenderskim Conradem" nieśmiało usiłował przemycić w swych dziełach postaci tzw. krajowców. Jakże wyraźnie odbija od ich dzieł świat „Fantazji Almayera", „Wykolejeńca" czy „Ocalenia", jak pełne i żywe są sylwetki Daina Warrisa, Karaina czy Malaja z „Laguny". Krytyka angielska nie poznała się na Conradzie; jednym z podstawowych był zarzut, że jego Malaje wcale nie są podobni do „prawdziwych" Malajów, gdyż wyposażył ich w cechy właściwe tylko białej rasie! Ten zarzut możemy pozostawić dziś bez komentarzy — jest aż nadto wymowny.

Najbardziej chyba nienawistny był Conradowi epitet „pisarza morskiego", chętnie używany przez współczesną mu krytykę. Broniąc się podkreślał z naciskiem — przypomnijmy raz jeszcze — że pisze o ludziach i przede wszystkim o ludziach; morze czy tropikalny krajobraz traktując jako drugoplanową scenerię mającą uwypuklić cechy charakteru człowieka. A mimo to właśnie w tym egzotyzmie i otoczeniu mistrzowsko opisanych żywiołów leży jeden z nieprzemijających uroków świata stworzonego przez autora „Zwierciadła morza". W naszej ubogiej literaturze marynistycznej wznowienie pozycji takich, jak „Murzyn z załogi Narcyza" czy „Tajfun" byłoby nowym tchnieniem dalekich oceanów, ciągnących wyobraźnię we wspaniały świat walki człowieka z siłami przyrody.

„Nauczyliśmy się — pisze Kott — zamiast oceniać życie miarą śmierci, oceniać śmierć miarą życia, miarą postępu i wtedy odeszliśmy od Conrada. Poza heroizmem śmierci istnieje heroizm czynu, który zwycięża, który zmienia oblicze świata, heroizm myśli, która nim kieruje, która nigdy nie zgodzi się przystać na rezygnację z pełni poznania".

Jeśli nawet będziemy się starali zapomnieć o Kolumbie i Magellanie, jeśli idąc za komentatorem „Robinsona" przyjmiemy, że cały odkrywczy postęp jest tylko wynikiem kapitalistycznego poszukiwania nowych rynków zbytu, to przynajmniej na zarzut niezmienianego przez conradowych bohaterów oblicza świata zacytujemy słowa samego Conrada: „Wszystkie burzliwe namiętności przeżyte przez ludzkość w zaraniu jej dni, żądza grabieży i żądza sławy, żądza przygód i żądza niebezpieczeństwa, wraz z wielką miłością do nieznanego i marzeniami o sławie i potędze przeminęły jak obrazy odbite w zwierciadle nie zostawiając żadnego śladu na tajemniczym obliczu morza". I chociaż niewielu polskim czytelnikom znany jest znakomity esej Conrada „Geografia i niektórzy jej twórcy" poświęcony wielkim odkrywcom, możemy zapewnić, że heroizm czynów na lądzie równy jest heroizmowi czynów na morzu, że wartość ich nie przemija nawet wtedy, gdy jedyny jej ślad pozostał tylko na kartach książki.

8. W PRZEDEDNIU STULECIA

ARTYKUŁ ten, jak wspomniano, „sprowokowany" został m. in. zapowiedzią wydania dzieł Conrada, celem jednakże było nie tylko przypomnienie polskiemu czytelnikowi, że istniał, tworzył i zmarł wielki pisarz, który był naszym rodakiem, lecz także wyciągnięcie dalszych wniosków dla naszej polityki kulturalnej, zwłaszcza dla wydawców.

Conrad urodził się 6 grudnia 1857 r., zaledwie więc dwa lata dzielą nas od stulecia jego urodzin, które bezwątpienia przyniesie wielbicielom pisarza na całym świecie wiele cennych conradianów — tak monografii naukowych, jak nowych wydań jego dzieł. (Warto zaznaczyć, że z dotychczas istniejącej literatury o Conradzie liczącej setki tomów *ani jedno* dzieło nie zostało przełożone na polski — nawet uzupełniona dużym wyborem korespondencji szczegółowa biografia pióra G. Jean-Aubry, wydana w 1927 r.).

Byłoby rzeczą co najmniej dziwną, gdyby wśród wznowień zabrakło wydawnictw polskich, tym dziwniejszą, że będąc ojczyzną pisarza pozostaliśmy jednym z nielicznych krajów kulturalnych nie mających dotąd pełnego wydania nawet powieści Conrada, nie mówiąc już o nadzwyczaj ciekawej publicystyce. A dwa lata dzielące od rocznicy w pracy wydawców, to — jak wiemy — bardzo niewiele, może więc już dziś przemyśleliby śmy krytycznie czy istotnie pełnego Conrada da się zamknąć w dwunastu tomach?

Byłoby rzeczą dziwną, gdyby wśród książek roku 1957 zabrakło nowoczesnej monografii Conrada, a przynajmniej dzieła rzucającego na jego życie i twórczość nowe spojrzenie, wydobywające z mroku zapomnienia tę arcyciekawą postać człowieka, który usiłował opanować swój los.

Zbierając od lat kilku materiały do większej pracy o Conradzie udało mi się zebrać i tę garść spraw częściowo zapomnianych, częściowo zupełnie świeżych, którymi dzielę się z czytelnikami. Czy argumenty są słuszne, czy wysunięte postulaty doczekają się realizacji?

Te sprawy — sparafrazujmy jeszcze, tym razem nieco złośliwie, Kotta — osądzi historia.

Jerzy Krzyżanowski

ZYGMUNT FALKOWSKI

TRAKTAT O MIŁOŚCI ROMANTYCZNEJ

I

Principia

Pochyłe wzgórza w dymie młodych gajów,
skąd płynie obłok i kukułka woła,
a naprzeciwko echa wybiegają,
wchodzą w głąb zmierzchu jak w złoty wosk pszczoła.

U kresu Ziemi wstaje granatowe
niebo i biją w nim gwiazd wodotryski.
Tyle wystarczy, by do głowy — głowę
skłonić na ścieżce dąbrowy pobliskiej.

Tyle wystarczy, ale nadto trzeba
porozwieszanych lampionów ballady,
galopu konia, co iskry rozsiewa
w niebieski popiół zwiane przez świt blady.

Aż znowu wzejdzie nad kartkami łuna
świecy i oczy chciwe spadną stromo
w otwarty romans, niechcący po strunach
przemknie gdzieś ręka...
Z szumiącego promu
noc zepchnie w okno — chmur strzaskane góry
i księżyc, lampę tej architektury.

II

Rzut oka na ewolucję

1

Masz pierścienie, złote pierścienie
Tycjanowych w odbłysku włosów,
zagubione, odnalezione
dla strof, dłuta, pędzla i Losu.
Bawi ciebie uczucie, ów antyk
kolorowy z wystawy rupieci:
staroświecki zegar z kurantem,
świecznik z brązu lub miedzi.

Kruchym chwilom — wieczności przysparza
wiersz poety, pędzel malarza.
Gdy na przykład:
światło z góry bijące podłuża
twoje rzęsy, biała dłoń wisi
osunięta z poręczy. Kałuża
krwi pod stopą? Nie, dywan czerwony.
Albo:
kiedy, goniąc puszysty ślad lisi,
niesie ciebie wierzchowiec spieniony
przez jesienią żagwiące się wzgórza.
Kiedy indziej w sztambuchu:
„I po cóż to, co piękne, oblekać w ozdobę?
Posągi bogów — bluszcze zielone okolą.
Uczucia tej epoki — to dzieci twe, Niobe,
które wiek nasz zabija jak gniewny Apollo."

2

W gotowalni twej na biurku — granaty:
trzy, cztery czy pięć,
bagnet rdzawy od pchnięć
i ułomek armaty.
Obok książka czytana dość wartko
bielejąca nierozciętą kartką,
tudzież zmięty od szwaczki rachunek.
I spytałem, bo jestem dość szczery,
po co zdobi siedzibę Wenery
tak dziwaczny rynsztunek?
Uśmiechnęłaś się wiotko i mdło,
na warg łuku prężyła się drwina,
co słowa ostre odcina
jak diament szkło.
Zabłysnęła z kart (a tych para
obrócona palcem niedbale)
twarz Brutusa, zabójcy Cezara.
Po okładce szemrały paznokcie,
dłoń objęła zdobnej księgi tułów.
Byłbym chwycił jej przegub, lecz dog cię
strzegł, a ślepia miał z karbunkułów.

3

Latem bywa inaczej. Widujemy się z rana,
gdy słońce ścieka miodem do ust i do oczu.
W dole miasto, mgła jeszcze nie całkiem rozwiana,
rzadsza w słońcu, gęściejsza w chłodnym drzew zamroczu.
Przez okno ulatuje dymek z papierosa,
w kwiatach brzęczy przygodnie zabłąkana osa.
Na wsi leniwe skwarem huczą grube trzmiele,
a nad lipami wiszą korowody pszczele
nieruchome, zastygłe w nabożeństwie pracy.
Jesteśmy tam oboje słoneczni prostacy.
Brązowe masz ramiona, brązowiejesz cała
i rzeźbisz się jędrnością dojrzałego ciała.

III

Aneksy

Twój uśmiech surowo karci
te wierszowane swawole,
ten rytm drapieżny, lamparci,
te zwrotki miękkie, sobole.

Lecz ja nikogo nie winię:
noce od gwiazd tak puszyste,
ranki są jak brzoskwinie,
więc cóż dziwnego, zaiste?

Lubisz piwonie i charty
i wietrzne jesienne gony.
Ja lubię miesiąc wytarty
jak stary dukat czerwony.

Miedzianą zorzę odymia
sinawa zmierzchu patyna.
W niebiosach pustka olbrzymia,
a w smaku Ziemi — smak wina.

Zygmunt Falkowski

WIESŁAW SKOLIMOWSKI

DOKUMENTY CIEKAWEJ EPOKI

GDY w roku 590 na osieroconą po śmierci Pelagiusza II Stolicę Piotrową wstępuje Grzegorz, zwany później Wielkim, Kościół katolicki przeżywa poważny kryzys wewnętrzny. Z jednej strony powtarzające się najazdy Longobardów odbijają się ujemnie na interesach materialnych Kościoła rzymskiego, z drugiej zagraża mu schizma wschodnia, w wyniku stanowiska patriarchy konstantynopolskiego, Jana Jejunatora, który uzurpował sobie tytuł „patriarchy ekumenicznego". Ponadto przestarzały system organizacyjno-administracyjny zarządu dóbr kościelnych domaga się rychłej reformy, a poziom niektórych kierowników i pasterzy tej wielkiej Owczarni Chrystusowej pozostawia wiele do życzenia.

Dobrze odzwierciedla ten stan rzeczy następujący fragment z listu papieża Grzegorza: „Niegodny i słaby przejąłem stary i mocno skołatany okręt, w który ze wszystkich stron wdzierają się fale i którego spróchniałe belki, nieustannie smagane burzą, zapowiadają rychłe rozbicie".

Zaszczytny wybór przyjmuje jednak Grzegorz bez entuzjazmu, gdyż jak da temu wyraz w kilku swych listach, wybór ten odsuwa go od umiłowanego życia kontemplacyjnego i zmusza „do zajmowania się sprawami mniej ważnymi i krzątaniem koło wielu rzeczy". Mimo to w pełni odpowiedzialności i pokory przyjmuje nałożone na siebie obowiązki rozumiejąc, że czego „umysł nie przyjmuje dobrowolnie, tym odpowiednio nie kieruje" i pocieszając się, że przecież „wielu jest takich, którzy tak umieją kierować powodzeniem zewnętrznym, że przez nie bynajmniej nie upadają wewnętrznie".

Z dużą wprawą i energią zabiera się do sprawowania papieskiego urzędu. Niewątpliwie, były mu tu bardzo pomocne doświadczenia z okresu, gdy — jeszcze przed wstąpieniem do stanu zakonnego — sprawował odpowiedzialny urząd prefekta Rzymu oraz obserwacje i przemyślenia wyniesione z Konstantynopola, gdzie przebywał przez lat kilka w charakterze legata papieskiego.

Dzięki swym umiejętnościom dyplomatycznym zawiera Grzegorz przymierze z królową Teodolindą i kładzie tym kres wojnie z nękającymi kraj Longobardami. Co więcej, utrzymując z nią nadal dobre stosunki, stopniowo przygotowuje grunt do przejścia tego narodu na katolicyzm.

Szczególnie doniosłe znaczenie miało podjęcie przez niego inicjatywy katechizacji Anglów. W tym celu wyprawia do Anglii opata klasztoru benedyktyńskiego św. Andrzeja. Augustyna, wraz z 39 mnichami. Misja rozwija się pomyślnie i niebawem Grzegorz przesyła Augustynowi paliusz, powierzając mu kierownictwo hierarchii, której metropolią staje się Canterbury.

Nie zaniedbując ważkiej problematyki kanonicznej, liturgicznej, dogmatycznej i katechetycznej najwięcej uwagi poświęcał Grzegorz postawie i działalności duchowieństwa. W swych listach, którymi w głównej mierze posługiwał się w kierowaniu sprawami kościelnymi, najwięcej uwagi poświęcał zagadnieniu, jakim powinien być kapłan katolicki. Czyni to bądź wydając rozkazy i polecenia, bądź służąc ojcowską radą czy nawet strofując za popełnione wykroczenia i nawołując do poprawy. Charakterystyczny jest przy tym duży takt, z jakim udziela tych wskazówek. Oto urywek jednego z tych listów — w którym poucza, jakim powinien być biskup — przesłany do Jana, biskupa Rawenny wraz z Regułą pasterską, którą napisał Grzegorz w pierwszych latach swego pontyfikatu i która jest teoretycznym sformułowaniem obowiązków i zadań stanu kapłańskiego:

„Grzegorz do Przewielebnego i Świątobliwego Brata Współbiskupa Jana. W łaskawy i pokorny sposób ganisz, Najdroższy Bracie, moją chęć ucieczki przed ciężarem urzędu pasterskiego. Nie chcąc, by te sprawy wydały się lekkie, kreślę w załączonej książce to, co myślę o tych ciężarach, aby ten, kto ich nie ma, nie pożądał ich nieopatrznie i aby ten, kto ich nieopatrznie pożądał, lękał się, dlatego, że je uzyskał. Książka ta podzielona jest na cztery rozprawy, aby doszła do świadomości czytelnika w pewnym porządku, jakby pewnymi krokami. Albowiem gdy konieczność tego wymaga, należy zwrócić pilną uwagę, w jaki sposób ktoś dochodzi do władzy najwyższej, a jeżeli dobrze — jak naucza; a jeżeli dobrze naucza, trzeba się zastanowić, czy rozważnie poznaje codziennie swą słabość. Chodzi o to, żeby ani pokora nie uchylała się od objęcia władzy, ani życie nie utrudniało dojścia do niej, ani nauka nie osłabiała życia, ani zarozumiałość nie ponosiła nauki. Niechaj więc już przedtem obawa kieruje pożądaniem. Potem zaś niech życie zaleca urząd nauczycielski podejmowany przez tego, kto się o niego ubiega. A następnie jest rzeczą nieodzowną, aby głoszono także słowem zacność pasterza okazywaną życiem. W końcu zaś baczyć należy, aby rozmyślanie o własnej słabości tłumiło radość z powodu jakichś doskonałych uczynków, aby ich nie niszczyła pycha w oczach ukrytego Sędziego".

Grzegorz starał się gorliwie o utrzymanie i przywrócenie karności kościelnej. Sprawiedliwy i wyrozumiały wobec biądzących, cierpliwie stara się o sprowadzenie ich na drogę poprawy. W pewnych wypadkach wzywa winnych do Rzymu, by tu osobiście ich osądzić i pouczyć o właściwym postępowaniu. W stosunku do opornych i zatwardziałych nie waha się pozbawić ich piastowanych urzędów a nawet ekskomunikować.

Wrażliwy na krzywdę ludzką, ilekroć dojdzie go wiadomość o uczynionej komukolwiek niesprawiedliwości, natychmiast występuje w obronie pokrzywdzonych lub prześladowanych nakazując naprawić krzywdę. Nie czyni przy tym żadnej różnicy ze względu na stan pokrzywdzonego. Czy to będzie ktoś pochodzący z patrycjatu, czy zwykły plebejusz czy nawet niewolnik — na równi ich bierze w obronę. W paru listach wstawia się również za Żydami, niewłaściwie potraktowanymi przez biskupów, którzy nadużyli wobec nich swej władzy lub niewłaściwymi metodami starali się o ich nawrócenie. Zakazując stanowczo stosowania w tych wypadkach przemocy cierpliwie tłumaczy, iż „ktokolwiek przystąpi do źródła chrztu nie dzięki łagodnemu nauczaniu, lecz z konieczności, to wracając do starego zabobonu tym gorzej potem umiera dlatego, że zdawało się, iż się odrodził".

Jednocześnie prowadzi szeroką akcję charytatywną nakazując pełnienie dzieł miłosierdzia i pomocy bliźniemu. Sam przeznacza na ten cel poważne fundusze przekazywane na jego ręce przez szczodrych ofiarodawców lub czerpane z dochodów z dóbr kościelnych.

Współczesnego czytelnika listów grzegorzowych zadziwia fakt, jak ten licznymi obowiązkami i kłopotami obarczony człowiek znajdował chęci i czas by wdawać się w szczegółowe rozpatrywanie zawiłych niejednokrotnie spraw osób indywidualnych i wydawanie drobiazgowych zaleceń ich dotyczących. I czy to będzie sprawa zapewnienia pokutnikowi z Ponormos niezbędnych środków utrzymania, czy szczegółowe zadysponowanie spadkiem po dowódcy żołnierzy Kompanianusie, czy napozór taki drobiazg, jak polecenie zwrotu córce jakiegoś Teodozjusza kubka po jej ojcu — wszystko to dla Grzegorza jest sprawą równie ważną i istotną jak każda inna, bowiem dotyczy człowieka i jego osobistego świata potrzeb i doznań.

W tej nieustannej trosce o materialne potrzeby swych współbraci i ich duchowe uświęcenie, o zwartość i sprawność organizacyjną powierzonego jego pieczy Kościoła i nieskażonego depozytu wiary — spalały się powoli siły Grzegorza. Ten wielkiej pracowitości człowiek, który odrzuciwszy ofiarowany mu szumny tytuł papieża powszechnego nazwał sam siebie sługą sług bożych, uczynił dla Kościoła i jego przyszłości bardzo wiele. Zarówno przyczyniając się znacznie do stworzenia teoretycznych podstaw nauki katolickiej o sakramentach, o Mszy świętej i łasce, o cudach i dobrych uczynkach, jak i przeprowadzając liczne reformy ustroju kościelnego. Umierając w roku 604 pozostawił okręt Chrystusowy odnowiony i przygotowany do czekających go licznych burz i przeciwieństw w jego podróży do portu ostatecznego przeznaczenia. Był jedną z największych i najszlachetniejszych postaci wśród następców św. Piotra.

Do najcenniejszej spuścizny po św. Grzegorzu Wielkim należą jego listy. Z obfitej korespondencji zachowało się, niestety, zaledwie około 800 listów. Pisane na przestrzeni 14 lat sprawowania pontyfikatu stanowią olbrzymi materiał faktograficzny z okresu przełomu dwóch epok: tworzenia się nowych stosunków gospodarczych; rodzenia się odmiennego układu sił politycznych w Europie, gdzie na gruzach potężnego niegdyś Imperium Romanum wyrastać zaczynają zwolna nowe potęgi państwowe i wreszcie kształtowania nowych stosunków obyczajowo-moralnych. Specjalne jednak wartości zawierają listy św. Grzegorza w tych fragmentach, gdzie świątobliwy ich autor kreśli wzory i zalecenia odnośnie właściwego spełniania misji apostolatu chrześcijaństwa, godnej i nieskazitelnej postawy kapłana katolickiego i jego stosunku do spełnianych obowiązków.

Z uznaniem przeto należy przyjąć podjęcie przez wydawnictwo PAX trudu wydania listów św. Grzegorza w przekładzie polskim, dokonanym przez ks. dr J. Czuja, który także opatrzył je odpowiednim wstępem i przypisami. Na razie ukazały się dwa tomy, obejmujące listy z lat 590—596. Pewnym mankamentem wydania jest brak na końcu poszczególnych tomów alfabetycznego indeksu osobowego, który ułatwiałby odnalezienie odpowiednich listów, związanych z danymi osobami.

Wiesław Skolimowski

Św. Grzegorz Wielki, Listy t. I str. 255 +XVIII, t. II str. 311, PAX, Warszawa 1954.

Z II Ogólnopolskiej Konferencji Badań nad Sztuką

O polskim filmoznawstwie

NA szczęście nie muszę już uzasadniać konieczności prowadzenia badań w dziedzinie polskiej nauki o filmie. Zarówno pierwsza konferencja w sprawie badań nad sztuką (grudzień 1950) jak i obecna, druga (czerwiec 1955) były w takiej samej uprzywilejowanej sytuacji.

Powstała w 1950 r. przy Państwowym Instytucie Sztuki komórka badań filmoznawczych — Sekcja Filmowa — na konferencji wawelskiej wytyczyła plany swej działalności i teraz, po pięciu latach, na obradach w Warszawie przedstawiciele tej najmłodszej dyscypliny naukowej zebrali się dla podsumowania swych osiągnięć i opracowania planów dalszych zadań.

Organizacja pracy Sekcji Filmowej PIS-u jest swojego rodzaju wyjątkiem. Istnieje wprawdzie na Zachodzie, głównie we Francji i krajach anglosaskich, a także na terenie Włoch i Hiszpanii szereg ośrodków naukowych, zajmujących się tzw. filmologią, ale działalność tych ośrodków poświęcona jest głównie badaniu przyjmowania filmów przez widza i ich oddziaływania na kształtowanie ludzkiej psychiki. Prace te, zwłaszcza przy Instytucie Filmologii w Sorbonie i ośrodkach angielskich, przedstawiają dużą wartość, przede wszystkim jednak dla psychologów, pedagogów, lekarzy czy socjologów. Natomiast pominięcie badania filmu z punktu widzenia jego artystycznych wartości sprawia, że zarówno twórcy, jak teoretycy i krytycy artystyczni znajdują się poza kręgiem filmologii.

Jeżeli chodzi więc o zorganizowane badania w dziedzinie teorii historii sztuki filmowej, to można jedynie mówić o działalności włoskich ośrodków, częściowo związanych z „Centro Sperimentale di Cinematografia" lub z redakcjami poważnych czasopism jak „Bianco e Nero" czy „Rivista del Cinema Italiano". Zarówno bowiem prace działu filmowego Instytutu Historii Sztuki Akademii Nauk ZSRR jak i Brytyjskiej Akademii Filmowej nie dały jeszcze większych rezultatów.

Pionierska działalność placówki polskiej darzona więc była jak największym zainteresowaniem. Organizacja badań naukowych nad sztuką filmową w Polsce oparta została w zasadzie o wzory radzieckie. Sekcja filmu PIS-u zająć się miała badaniami z dziedziny historii i estetyki filmu i w tych dyscyplinach wyznaczyła sobie zadania na konferencji wawelskiej. Szczupłość kadr i ogrom zagadnień czekających na opracowanie kazał ograniczyć tę działalność do podstawowych badań; tworzenia właściwego poglądu na rozwój sztuki filmowej w skali ogólnoświatowej i ocenę krytyczną polskiej kinematografii na płaszczyźnie twórczości i rozważań teoretycznych.

I tak w ciągu swej działalności Sekcja filmowa PIS-u wydała: bibliografię i filmografię filmu polskiego za okres do 1939 r. (praca dra W. Jewsiewickiego); studia z pogranicza literatury i filmu oraz teatru i filmu w tomach „Powieść na ekranie" i „Dramat na ekranie"; zbiór prac autorów radzieckich o zagadnieniach warsztatu realizatora filmowego oraz „zagadnienia estetyki filmu" — zbiór prac poświęconych środkom wyrazowym i zagadnieniom dramaturgii filmu. Ponadto w druku znajduje się historia filmu powszechnego do roku 1918. Dorzucając do tego prace dra Jewsiewickiego pt. „Prehistoria filmu" i „Kazimierz Pruszyński", zbiór felietonów, popularyzujących zagadnienia estetyki filmowej — J. Płażewskiego („Szkice filmowe"), oraz dokumentację filmu „Młodość Chopina" J. Giżyckiego — wszystkie pozycje opracowane poza PIS-em — otrzymamy obraz wiedzy o sztuce filmowej w Polsce.

Trzeba powiedzieć, że zarówno w porównaniu z działalnością grup teoretyków włoskich, jak i indywidualnych autorów zachodnich — stan bardzo niski.

Najpoważniejszą przeszkodą w wykonaniu tego szczupłego nawet programu wawelskiego był oczywiście brak autorów oryginalnych prac, ale jednocześnie PIS nie uczynił nic, aby ten niedostatek w jakiś sposób zrównoważyć. Chęć stworzenia monumentalnych, bezbłędnych dzieł sprawiła, że redakcje poszczególnych prac zbiorowych ciągną się latami i po dziś dzień nie mamy podstawowego słownika filmowego czy historii własnej kinematografii. Brak autorów prac o charakterze monograficznym wynika oczywiście z młodości samej dyscypliny. Ale z pewnością i kształceniu tych kadr pomogłoby przyswojenie teoretycznych i historycznych prac już dokonanych za granicą. Tymczasem znajomość podstawowych dzieł Pudowkina, Balazsa, Moussinasa, Eisensteina, Claira, Chaplina, czy z ostatnich Sadoula, Chiariniego i Aristarco jest wprost znikoma. PIS z jednej strony słusznie szukał własnych dróg i naukowych metod, ale z drugiej zaniedbał całkowicie spopularyzowania klasyki literatury filmowej i to niewątpliwie mści się dziś ubóstwem własnych osiągnięć PIS-u. Sekcja filmowa dążąc w swej działalności do stworzenia naukowej dyscypliny z nauki o filmie, pominęła podstawowe ogniwo badań naukowych — a mianowicie stworzenie obszernej dokumentacji. Autorzy, pracujący nad poszczególnymi zagadnieniami, napotykają na brak podstawowych materiałów, które rozsypane są w wielojęzycznych wydawnictwach zagranicznych: brak tekstów klasyków, antologii, dokumentów, wykazów, monografii twórców i przede wszystkim samych filmów, które są głównym tematem badań. Ta ostatnia sprawa dopiero w maju br. została uwieńczona powodzeniem — uchwałą Prezydium Rządu PRL o utworzeniu archiwum filmowego. Ta wieloletnia batalia o archiwum filmowe była oczywiście spowodowana brakiem zrozumienia tej sprawy u przedstawicieli... organizacji kinematografii.

O ile nie uczyniono nic w PIS-ie, aby przewartościować dorobek teoretycznej myśli zagarnicy, tłumacząc to różnością postaw metodologicznych ich autorów, to bardzo dziwi fakt, że dotychczas nie umiano się rozprawić z dorobkiem teoretycznym polskich twórców lat przedwrześniowych, który wprawdzie jest bardzo skąpy, ale nie pozbawiony wartości. Prace Irzykowskiego, a później Lewickiego, Lissy, Blausteina, Trystana, Belmonta, czy Zahorskiej — po dziś dzień czekają na krytyczne omówienie.

O bolączkach tych mówiono obszernie na ostatniej konferencji w sprawie badań nad sztuką w PIS-ie. Sekcja Filmu zmierza do polepszenia tego stanu rzeczy, do zwiększenia aktywności na polu badania nad sztuką filmową. Jeszcze w bieżącym roku przewiduje się ukończenie prac nad historią filmu Polski Ludowej, leksykonem filmowym, skryptem z historii filmu radzieckiego oraz dalszym tomem historii filmu powszechnego (do 1929 r.). W roku najbliższym będą wydane tomy biblioteki klasyków filmu: przede wszystkim Balazsa i Pudowkina. Ponadto przewiduje się zwiększenie działalności naukowej organu prasowego Sekcji Filmu — „Kwartalnika Filmowego" oraz rozszerzenie prac dokumentacyjnych.

Filmowcy polscy starają się, aby jak najlepiej spełnić zadanie wytyczania i korygowania dróg żywej twórczości, na którą czekają widzowie kinowej sali.

J. M.

KSIĄŻKI NADESŁANE

POWIEŚĆ

Józef Bédier: „TRISTAN I IZOLDA". Tłum. Boy. PIW 1955. Str. 158. Cena 5 zł. Nakł. 20000+175. Okł. i przerywniki M. Rudnickiego.

Svätopluk Cech: „JASTRZĄB CONTRA GOŁĄBEK". Tłum. A. Sieczkowski. Czyt. 1954. Str. 128. Cena zł 4.20. Okł. A. Heindrich. Ilustr. A. Uniechowski. Wstęp: A. Sieczkowski.

Joseph Conrad: „LOS" Tłum. W Tatarkiewicz. PIW 1955. Str. 462. Cena zł 15. Nakł. 20000+175. Posłowie R. Jabłkowskiej.

Diderot: „ZAKONNICA". PIW 1955. Str. 211. Cena zł 7. Nakł. 20000.

Johan Wolfgang Goethe: „CIERPIENIA MŁODEGO WERTERA". Tłum. L. Staff. PIW 1955. Str. 167. Cena zł 9. Nakł. 10000+176. Okł. M. Rudnicki. Reprodukcje miedziorytów D. Chodowieckiego.

Maksym Gorki: „PISMA" tom 1/2. Tłum. J. Brzęczkowski, J. Brzechwa, J. Guze, J. Jędrzejewicz, S. Pollak, A. Stern. PIW 1954. Cena zł 17. Okł. A. Stefanowski.

Walentyn Kostylew: „IWAN GROŹNY". Tłum. C. Jastrzębiec-Kozłowski. PIW 1954. 3 tomy. Str. 476+502+372. Cena zł 49,70. Nakł. 10000+176.

X. Prevost: „HISTORIA MANON LESCAUT I KAWALERA DES GRIEUX". Tłum. Boy. PIW 1955. Str. 210. Cena zł 5.40. Nakł. 30000+176. Przedm. J. Kotta.

Bolesław Prus: „PLACÓWKA". PIW 1954. Str. 234. Cena zł 5. Nakł. 10000.

Romain Rolland: „COLAS BREUGNON". Tłum. F. Mirandola. PIW 1955. Str. 193. Cena zł 5.35. Nakł. 10000+176

Lucjan Rudnicki: „STARE I NOWE". PIW 1954. Str. 262. Cena zł 7. Nakł. 50000+176. Ilustr. J. Tchorzewski.

Lew Tołstoj: „ZMARTWYCHWSTANIE". Tłum. W. Rogowicz. PIW 1954. 2 tomy. Str. 268+343. Cena zł 20. Nakł. 30000+176.

Lew Tołstoj: „HADŻI MURAT I INNE OPOWIADANIA". Tłum. G. Timofiejew, C. Jastrzębiec-Kozłowski, J. Dmochowska, J. Jędrzejewicz. PIW 1954. Str. 458. Cena zł 14. Nakł. 20000+176.

Wojciech Żukrowski: „DOM BEZ ŚCIAN". PIW 1954. Str. 391. Cena zł 19. Nakł. 20000. Okł. S. Rzepecki.

RÓŻNE

„ANTOLOGIA POLSKIEJ KRYTYKI MUZYCZNEJ XIX i XX WIEKU" (Z prac Państwowego Instytutu Sztuki). PWM 1955. Str. 523. Cena zł 60. Nakł. 2160. Oprac. S. Jarociński.

„GALICYJSKIE WSPOMNIENIA SZKOLNE". (Do druku przygotował, wstępem opatrzył Antoni Knot) WL 1955. Str. 520. Cena zł 42. Nakł. 3000+176. Okł. K. Wojtanowicz.

Paweł Hertz: „PORTRET SŁOWACKIEGO". PIW 1955. Str. 290. Cena zł 12. Nakł. 10000+176. Okł. M. Rudnickiego.

„KAROLA KURPIŃSKIEGO DZIENNIK PODRÓŻY". Oprac. Zygmunt Jachimecki. PWM 1954. Str. 176. Cena zł 12. Nakł. 5160. Okł. A. Młodzianowski.

Wojciech Maciąg: „SZTUKA PISARSKA MARII DĄBROWSKIEJ". WL 1954. Str. 207. Cena zł 6.50. Nakł. 4000+175. Okł. K. Wojtanowicz.

Zygmunt Lichniak: „OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ". PAX 1955. Str. 466. Cena zł 30. Nakł. 3000+350. Okł. T. Niemirski.

Stanisław Ziemba: „ŚLADAMI DWÓCH DESEK". Zarys dziejów narciarstwa. WL 1955. Str. 426. Cena zł 18. Nakł. 15000. Okł. K. Wojtanowicz.

rys. Gabriel Rechowicz

C V I T A S E M M A U S

PAX

NOWOŚCI I WZNOWIENIA

Zygmunt Lichniak
OBRACHUNKI
ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ
str. 466 Cena zł 30.—

Daniel Rops
OD ABRAHAMA DO CHRYSTUSA
str. 447 Cena zł 30.—

Ks. Wierusz-Kowalski
MSZAŁ
NIEDZIELNY I ŚWIĄTECZNY
str. 952 Cena zł 100.—

Jan Dobraczyński
DRZEWA CHODZĄCE
str. 242 Cena zł 20.—

Jan Dobraczyński
KOŚCIÓŁ W CHOCHOŁOWIE
str. 283 Cena zł 25.—

Jan Dobraczyński
LISTY NIKODEMA
str. 420 Cena zł 25.—

Jerzy Stadnicki
KURZ NA MIŁOŚCI
str. 199 Cena zł 18.—

Sigrid Undset
KRYSTYNA CÓRKA LAWRANSA
t. I/III
str. 276+404+424 Cena zł 80.—

JEZUS MALUSIEŃKI
(modlitewnik dla dzieci)
str. 216 Estetyczna biała oprawa
Cena zł 25.—

WYSYŁA BIURO SPRZEDAŻY
„P A X"
WARSZAWA, MOKOTOWSKA 43

za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa I-14-140317 — Sp. Wyd. „Pax", Instytut Wydawniczy w Warszawie. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3.— na koszt przesyłki.

Koncert Absolwentów PWSM w Warszawie

JEŻELI ktoś chciałby zadać pytanie, jaki kierunek studiów jest dla młodego muzyka najtrudniejszy do opanowania przy tych warunkach nauczania, jakie istnieją obecnie na terenie naszych szkół muzycznych, odpowiedź musiałaby brzmieć: bezwarunkowo dyrygentura. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: ponieważ jest to jedyna dyscyplina, gdzie student przez cały czas studiów nie ma prawie zupełnie do czynienia z „instrumentem", którym ma nauczyć się władać. Skrzypek ma zawsze skrzypce — lepsze czy gorsze — do dyspozycji, pianista również na ogół ma dostęp do fortepianu, czy choćby pianina, nawet organista — choć tu sprawa jest stosunkowo trudniejsza — znajduje na terenie szkoły instrument, na którym choć czasem może poćwiczyć. Dyrygent natomiast nie ma tej możliwości; jego „instrumentem" bowiem jest — orkiestra symfoniczna. Tymczasem nie jest rzeczą pewną, czy spośród istniejących w Polsce siedmiu wyższych szkół muzycznych przynajmniej dwie lub trzy posiadają studenckie orkiestry symfoniczne, których stan ilościowy oraz poziom artystyczny pozwoliłby na granie nieco bardziej różnorodnego repertuaru. W każdym razie Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Warszawie takiej orkiestry nie posiada. Nie jest to bynajmniej dziwne: bardziej zdolni i zaawansowani studenci pracują już w orkiestrach Filharmonii Narodowej, Opery, czy Polskiego Radia, a więc zapewne są zwolnieni z udziału w pracach orkiestry szkolnej, która wobec tego jest bardzo nieliczna, no i nie reprezentuje zbyt wysokiego poziomu artystycznego. Wobec takiego stanu rzeczy student dyrygentury skazany jest na dyrygowanie co najwyżej... jednym lub dwoma pianistami grającymi z wyciągu fortepianowego, a z wielką orkiestrą styka się niejednokrotnie po raz pierwszy dopiero... na próbach koncertu będącego popisem absolwentów uczelni. W tych warunkach trudno naprawdę nauczyć się władania skomplikowanym aparatem orkiestrowym. Można czynić to niejako instynktownie, jeżeli ktoś posiada naprawdę wybitny talent dyrygencki, jak to mogliśmy zauważyć przed rokiem, czy dwoma, kiedy cały koncert absolwentów warszawskiego Konserwatorium prowadził Andrzej Markowski. W większości wypadków jednak sprawa ogranicza się do wyuczenia niemal na pamięć pewnej ilości partytur oraz do wystudiowania — również na pamięć — zespołu ruchów potrzebnych do dyrygowania tymi utworami. Wobec takiego stanu rzeczy recenzent może najwyżej omawiać dyplomowy koncert jako „rzecz samą w sobie", natomiast nie może z pełnym poczuciem odpowiedzialności wypowiadać sądów na temat kalibru talentu młodego dyrygenta, chyba że sprawa jest tak jasna i wyraźna, jak to było w przypadku Markowskiego. Franciszek Klimczak, absolwent studia prof. Tadeusza Wilczaka, który na tegorocznym popisie absolwentów PWSM w Filharmonii Narodowej dyrygował VIII Symofnię Beethovena, był do swego występu przygotowany bardzo sumiennie. Widać było, że dokładnie opanował partyturę dzieła i gruntownie przemyślał koncepcję wykonawczą. Ruchy jego rąk były celowe i wyraziste. Na podkreślenie zasługuje bardzo precyzyjnie i plastycznie przeprowadzone przetworzenie pierwszej części Symfonii. Natomiast czwarta część miała, jak się zdaje, za mało lekkości i wdzięku nie mówiąc już o tym, że orkiestra nieco się w niej „rozłaziła" (co zresztą może być w pewnym stopniu winą orkiestry, nie tylko dyrygenta).

Solistami koncertu byli Alina Górska (fortepian) i Janusz Kucharski (skrzypce). Kucharski jest bez wątpienia jednym z najzdolniejszych skrzypków młodego pokolenia. Ci, którzy znają go z występów radiowych, bądź z eliminacji do konkursu im. H. Wieniawskiego, wiedzą dobrze, że w ubiegły piątek nie wykazał on bynajmniej pełni swych możliwości. Grę Kucharskiego cechuje duża biegłość techniczna, muzykalność, a ponadto lekkość i finezja, brak mu natomiast wielkiego tonu i szerokiej, pełnej frazy, które to czynniki są niezbędne do istotnie pięknego wykonania Koncertu A-dur Mieczysława Karłowicza. Poza tym na piątkowym koncercie młody skrzypek wydawał się — zapewne na skutek tremy — nieco skrępowany i nie włożył w wykonywane dzieło tyle temperamentu, ile ono wymaga, i na ile zapewne go stać.

Zupełnie natomiast nie było znać tremy po Alinie Górskiej, która wydaje się w granicach swoich możliwości być już zupełnie dojrzałą, rutynowaną pianistką. Błędem z jej strony było może wybranie do Koncertu G-dur Ravela, który wymaga maksymalnie jasnego, szklistego jak gdyby dźwięku, fortepianu Bosendorfera o brzmieniu niezwykle szlachetnym, lecz raczej ciemnym i głębokim (pamiętamy, jak brzmiała na nim „Chaconne" Bacha pod palcami Artura Michelangelego). Młoda pianistka grała pewnie i spokojnie, lecz będąc obdarzona niezbyt silnymi palcami częstokroć nie była w stanie „przebić się" przez orkiestrę — nie tylko w tych miejscach, gdzie orkiestra z założenia powinna być „na wierzchu".

Jako całość koncert absolwentów PWSM stał — trzeba to powiedzieć — na dobrym poziomie.

Jerzy Wojciechowski

SPROSTOWANIE

Chochlik drukarski nie oszczędza nawet poezji. Ostatnio zakradł się do drukowanego w nr 21 (495) „Dziś i Jutro" wiersza Antoniego Podsiada pt. „Samotność" zniekształcając sens pierwszej strofy.

Przepraszając autora i czytelników podajemy ją w brzmieniu właściwym:

Pani, stoję wśród żółtych uśmiechów słoneczników
sam
przed słońcem cichym, cichszym
jak głowa umarłego,
gdy skłoni się, tonie wśród traw.

IRENA TURSKA

O jeszcze jednym zespole

Z KAŻDYM rokiem powiększa się ilość polskich zespołów pieśni i tańca, będących zdobyczą kulturalną Polski Ludowej, jako nowa forma sztuki estradowej, opartej na twórczym wykorzystaniu ludowej muzyki i tańca ludowego. Ostatni rok przyniósł nam: „Śląsk" oraz jako ostatnią nowość, Zespół Pieśni i Tańca Centralnej Rady Związków Zawodowych, zwany popularnie „Skolimowem" od nazwy swej stałej siedziby w Skolimowie koło Konstancina.

W ostatnich miesiącach Zespół C.R.Z.Z. był przedmiotem zainteresowania naszej prasy. Czytając więc różne zarzuty, repliki i polemiki, z tym większą ciekawością oczekiwaliśmy konkretnych wyników pracy tego zespołu, który wystąpił ze swą publiczną premierą dnia 15 maja br. w Teatrze Polskim w Warszawie w ramach Festiwalu Muzyki Polskiej. Pomimo licznych tego dnia solenizantek — publiczność warszawska dopisała i gorącymi oklaskami nagradzała pracę młodego zespołu, promieniującego szczerą sympatią dla widowni i radością z rozpoczęcia nareszcie działalności koncertowej. Wytworzyło to od razu bliski, serdeczny kontakt sceny z widownią, a więc atmosferę niezwykle cenną dla obu stron. Rozgrzanie widowni doszło do szczytowego punktu w czasie tanecznych produkcji.

W niezbyt jeszcze jednolitym Zespole C.R.Z.Z. na plan pierwszy zdecydowanie wybija się jego grupa taneczna, świetnie przygotowana technicznie, zdyscyplinowana, roztańczona. Dowodem słusznej oceny pracy „Skolinowa" jest przyznanie mu nagrody II Festiwalu Muzyki Polskiej, właśnie za taniec artystyczny. Dlatego też zajmiemy się głównie tym programem. Kierownikiem artystycznym zespołu jest Jadwiga Mierzejewska, wybitna znawczyni tańca ludowego, w kolektywie choreografów i pedagogów współpracują z nią: Jadwiga Hryniewicka, Zygmunt Dąbrowski, Teresa Dobrowolska, Maria Gwardys. Ich zasługę stanowi techniczne i artystyczne przygotowanie grupy tanecznej, która dzięki wszechstronnemu wykształceniu zawodowemu, opartemu na solidnej podstawie techniki klasycznej, może już obecnie podejmować najtrudniejsze zadania repertuarowe. Posiadając ponadto swój własny styl i charakter, grupa baletowa „Skolimowa" jest najzupełniej przygotowana do podjęcia nowego ambitnego zamierzenia — opracowania programu na V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów.

Kierownictwo powinno jednak położyć obecnie większy nacisk na podniesienie poziomu orkiestry i chóru, który również musi wypracować sobie bardziej swoisty i zdecydowany charakter, odróżniający go od wielu poprawnych czy nawet dobrych chórów amatorskich. W pierwszej części programu chór „Skolimowa" z towarzyszeniem orkiestry pod dyrekcją Stanisława Gajdeczki, kierownika muzycznego Zespołu, wykonał pieśni masowe i rewolucyjne: „Piosenkę Więzienną" w opr. Gajdeczki, „Warszawiankę" w opr. Tadeusza Szeligowskiego, „Pieśń o Partii" Nowackiego, „Górnicy" A. Gradsteina. Drugą część wypełniły pieśni ludowe: „Kołysanka Kielecka" w opr. T. Szeligowskiego, 2 pieśni w opr. Mieczysława Krzyńskiego: „Góralską Pieśń Buntowników" i „Polkę" oraz żartobliwą piosenkę p.t. „Kamizelki" w opr. Zbigniewa Turskiego.

PIERWSZY program Zespołu C.R.Z.Z. wykazał, iż na ogół nie znalazł on jeszcze swego wyraźnego kierunku, wynikającego z jasno wytkniętych założeń. Znalezienie takiego kierunku, wyrażającego w pełni misję Zespołu jako reprezentanta kulturalnego szerokich rzesz związkowców — jest rzeczą niezwykle trudną i dojrzeć musi w ogniu prób. Trudno nawet wymagać, by udało mu się to od pierwszego zamachu. Widzimy dopiero pierwsze kroki w kierunku szukania własnej, słusznej drogi, a w tych niepewnych jeszcze krokach potknięcia są możliwe, nawet nieuniknione.

W pierwszym programie „Skolimowa", noszącym bardzo „składany" charakter, trzy pozycje taneczne warte są podkreślenia: „Odrodzenie", „Mazur" i „Oberek".

Niebanalny obrazek taneczny, oparty muzycznie na tabulaturach organowych z XVI wieku oraz tanecznie na rekonstrukcji i stylizacji mieszczańskich, dworskich i ludowych tańców epoki Odrodzenia — stanowi śmiałą próbę wskrzeszenia dawnych narodowych tradycji tanecznych z uwypukleniem ich klasowych nurtów. Mimo pewnych niejasności sytuacyjnych (np. nieczytelna ilustracja ruchowa melodii „Zakłułam się tarniem" w tańcu rybaczek), „Odrodzenie" jest interesującym dziełem choreograficznym. Z uznaniem należy podkreślić cenną inicjatywę Zespołu, nie lękającego się trudności w zdobyciu źródłowego materiału oraz staranną i pełną twórczej inwencji pracę kolektywną w opracowaniu choreograficznym i reżyserskim całości. Mocniejsze skonkretyzowanie wątku literackiego przydałoby z pewnością „Orodzeniu" nieco zwartości i logiki w rozwoju kompozycyjnym.

„Mazur" do muzyki Stanisława Moniuszki (z opery „Straszny Dwór") oraz „Oberek" w opracowaniu muzycznym Edwarda Weimana — to utwory, zajmujące w programie „Skolimowa" najwyższą pozycję. Sam sceniczny charakter muzyki moniuszkowskiej podyktował styl Mazura, który nie tracąc swego teatralnego wyrazu, mógł w oderwaniu od akcji opery (wymagającej, jak wiadomo, stylu tzw. „kontuszowego czyli szlacheckiego mazura), przyjąć charakter bardziej zbliżony do mazura chłopskiego, bardziej żywy, bezpośredni, swobodniejszy w ruchu tanecznym. Kompozycja jego, będąca dziełem Jadwigi Hryniewickiej, zbudowana na typowych figurach mazurowych, odznacza się świeżą oryginalnością, pomysłowym ich wiązaniem i rozwiązywaniem, logiką w stosunku do przebiegu muzycznego oraz wielką malowniczością. A malowniczość „Mazura" to również gra pięknych, śmiałych w kolorystycznych zestawieniach kostiumów, projektowanych przez Janinę Petry-Przybylską. Nade wszystko zaś „Mazur" porywa temperamentem szczerym i bezpośrednim, a jednak nigdy nie wybuchającym w bezładnym nadmiarze, gdyż utrzymanym w ryzach koniecznej dyscypliny. Widać to w pełnej godności postawie tancerzy, w spokojnym układzie rąk, które niestety tak często w naszych scenicznych i estradowych układach mazura przypominają skrzydła wiatraków!

Nasz narodowy charakter tańca utrzymany także został w „Oberku" (układ J. Hryniewickiej), co przy niezbędnej stylizacji stanowi w znacznej mierze o jego wartości. Dobrze wykorzystała choreografka tak znamienne dla oberka narastanie tempa, wplatając je jako przejście od spokojnej kujawiakowej części do zawrotnego finału. Kostiumy w tym tańcu — dzieło również Janiny Petry-Przybylskiej, odznaczają się podobnymi walorami jak kostiumy do Mazura.

„Tańce Rzeszowskie" (w opracowaniu muzycznym Z. Turskiego) będące powiązaniem „Cebulki" „Krzyżaka" i „Polki bez nogę" — to również dobra pozycja programowa „Skolimowa". Każdy nowy wysiłek twórczy dążący do wzbogacenia naszego repertuaru estradowego — artystycznym opracowaniem tańców regionalnych ma swą wagę, zwłaszcza jeśli opracowanie to, obok swych walorów kompozycyjnych nie traci związku z autentykiem. A takie właśnie są „Tańce Rzeszowskie" opracowane dla skolimowskiego zespołu przez Krystynę Rokitnicką.

Do słabych natomiast punktów programu należą dwa pozostałe tańce: „Dmuchawce" (muzyka Witolda Lutosławskiego) i „Wiosna" (muzyka Zbigniewa Turskiego). Pierwszy z nich, to próba podłożenia treści literackiej pod taniec ludowy, w tym wypadku pod śląską „Kozierajkę", użytą jako tło naiwnych przekomarzań grupy dziewczynek ze starszymi chłopcami. Warto może pokusić się o znalezienie także innych, nowych treści poza odwiecznymi zalotami, które są wprawdzie dominującą, aczkolwiek nie jedyną cechą naszych tańców ludowych. Zbyt ciężkie, nie przypominające w niczym puchowej lekkości mleczowych kulek, rekwizyty — dmuchawce można było sobie darować. Nieco naiwny i niezbyt sprecyzowany w charakterze był obrazek p.t. „Wiosna", będący swobodną kompozycją taneczną w oparciu o elementy tańców lubelskich oraz zwyczaje „wianków".

Pierwszy występ Zespołu Pieśni i Tańca C.R.Z.Z. dowiódł wielkiego wkładu pracy całego kierownictwa i młodzieży, toteż należą się im gorące słowa uznania i zachęty w przeświadczeniu, że Zespół naprawdę stać na wypracowanie sobie własnego stylu odpowiadającego jego celom i zadaniom.

Zamiast post scriptum: dlaczego nie było programów?

Irena Turska

Niebezpieczeństwo wzrostu neofaszyzmu

Dokończenie ze str. 2

cia. Taki program charakterystyczny jest dla całej tzw. prawicowej opozycji. Jeszcze w okresie panowania hitleryzmu podobny program reprezentował Goerdeler — jeden z czołowych spiskowców z 20 lipca 1944 roku i teoretyk całego ówczesnego „prawicowego ruchu oporu" — stracony wraz z wieloma innymi po nieudanym zamachu na Hitlera.

Te „programy" potwierdzają tezę, że tzw. prawicowa opozycja jest po prostu rezerwą burżuazji. Jeżeli jedno narzędzie władzy już się zużyło, zamienia się je na nowe, bardziej skuteczne. Zamiany te dokonywane są w momencie najlepiej odpowiadających warunków politycznych.

✠

ZAOSTRZAJĄCE się sprzeczności wewnętrzne kapitalizmu stawiają problem bardziej skutecznego ujęcia sytuacji w Niemczech zachodnich w ryzy dyktatu monopoli. Odżywa zagadnienie jawnej dyktatury burżuazji bez maski libero - demokratyzmu. Otwarta jest sprawa faszyzmu w nowej szacie, opartego nie tyle o elementy nacjonalistyczne, ile o elementy chrześcijańsko - europejskiej frazeologii. A więc już nie starogermański zew krwi, ale „chrześcijańska Europa". Oczywiście Europa jest tylko tam, gdzie rządzi burżuazja, a chrześcijaństwo kończy się na Łabie i ma pokryć światopoglądowy indyferentyzm burżuazji.

„The New Statesman and Nation" z 19 lutego br. pisał: „Jeśli układy paryskie wejdą w życie, powstanie ogromne napięcie w stosunkach między dwiema częściami Niemiec, ale również — w tej czy innej formie — silne starcie pomiędzy antymilitarystyczną lewicą, a militarystycznym, krańcowo prawicowym skrzydłem w Niemczech zachodnich. Republika Bońska nie przeżyje tego chyba w obecnej swej formie. Niemcy zachodnie staną się prawdopodobnie państwem albo socjalistycznym (chodzi o ew. szanse socjaldemokracji i jej przywódcy Ollenhauera) albo faszystowskim*). Układy paryskie, za które sir [illegible] otrzymał Order Podwiązki, miały na pewno w intencji twórców stworzyć „pozycje siły" we Francji i Niemczech oraz wzmocnić Mendès-France'a i Adenauera. Powaliły już Mendès - France'a i osłabiły dr Adenauera, a mogą zakończyć dzieło także jego klęską".

Nie można nowopowstającego problemu Adenauer — Strasser odrywać od całokształtu układu sił w Republice Związkowej. Aktywizacja polityczna związków zawodowych i hasła antyfaszystowskie socjaldemokracji — będące niewątpliwie wynikiem nacisku rzesz członkowskich — świadczą o tym, że niebezpieczeństwo neofaszyzmu zostało zauważone i że niemiecka klasa robotnicza — mająca w pamięci doświadczenia 1933 roku — mobilizować będzie swoje siły do walki przeciwko neofaszyzmowi. Wzrastać będzie również opór neutralistycznie i liberalnie nastawionych środowisk inteligencji i mieszczaństwa. Bez względu na to jak ocenimy aktualny układ sił, jest rzeczą niewątpliwą, że nadszedł czas działania dla wszystkich antyfaszystów. Nadszedł czas sprzeciwu chrześcijan, dla których światopogląd nie jest pustym frazesem, dla chrześcijan, którzy nie chcą zezwolić na nadużywanie swego światopoglądu w interesach monopoli i utożsamianie go z faszyzmem. Pierwszy odcinek walki wspólny jest wszystkim antyfaszystom bez względu na różnice światopoglądu. Drugi odcinek walki jest przede wszystkim zadaniem samych chrześcijan. Gdy padną pierwsze strzały będzie za późno.

Rudolf Buchała

*) Uwaga i podkr. moje — R. B.

ŁASKA, GRZECH, DZIEŁO

(Dokończenie ze str. 1)

chu na płaszczyźnie natury, podobnie jak każdy inny niższy od niego byt stworzony, aktualizujący (realizujący) swoje naturalne możliwości;

d) człowiek wielbi Boga statycznie przez samo swoje istnienie, nie aktualizując poprzez czyn i jego skutki swych naturalnych możliwości — a więc poniżej swych naturalnych możliwości.

O ile kolejność dwu ostatnich punktów w tej gradacji nie nastręcza żadnych trudności, to kolejność dwu pierwszych wymaga jeszcze rewizji. Konieczność tej rewizji nie jest abstrakcyjna i teoretyczna, wynika ona nie z chęci tylko czysto logicznej poprawności, ale z istnienia sugestii — czy jeśli kto tak woli — rady w Objawieniu Bożym. Jednym z przykładów tej rady jest rozgrywająca się w Betanii scena (Łk. X, 42), w której Zbawiciel wyraża ocenę tych dwu sposobów oddania czci Bogu; pamiętamy słowa Jego nie wymagające żadnego komentarza: Maria wybrała lepszą część. „Lepsza część" nie jest żadną przenośnią; sens tego wyrażenia określa bliżej zdanie, które stwierdza, że owa lepsza część nie będzie Marii odjęta. Jest to jak gdyby osiągnięta za życia *visio beatifica* w stopniu, który wyklucza utratę dobra najwyższego.

Czy wobec tego ustalone powyżej stopniowanie należy w dwu pierwszych punktach odwrócić? Zanim odpowiemy na to pytanie, musimy uświadomić sobie dwie ważne rzeczy. Po pierwsze, że wyższość omówionego przykładu nie polega na tym, iż człowiek nie kontynuuje dzieła Stwórcy, lecz na tym, że wybiera bardziej bezpośredni i wyższy porządek oddawania Mu czci, który przekraczając naturę, zawiera, jako wyższy, również wszystkie wartości istniejące w jej porządku i daje za nie rekompensatę, i to z nadwyżką. Po drugie, mamy tu do czynienia z wypadkiem wyjątkowym, polegającym na bardziej bezpośredniej niż dana przez Objawienie wszystkim ludziom obecności Boga. Zamiast więc odwracania dwu pierwszych stopni należy przyjąć tu odrębny, wyjątkowy sposób wielbienia Boga. Jest rzeczą zbyteczną dowodzić, że ten sposób wielbienia Boga nie obejmuje i nigdy w zamiarach Bożych nie miał objąć wszystkich ludzi, którzy weszli i wejdą za życia na ziemi w dzieło Odkupienia. Albowiem „każdy — powiada św. Paweł — ma własny dar od Boga, jeden tak, a drugi inaczej" (I Kor. VII, 7).

✠

W ŚWIETLE tego, co powiedziano wyżej, problem wartości działania ludzkiego, pojętego jako wypełnianie zadań danych człowiekowi przez Stwórcę, i dzieła, będącego bezpośrednim skutkiem tego działania, sprowadza się do właściwych wymiarów. O dostatecznej skuteczności w sensie określonym przez cel ostateczny człowieka decyduje w ostatniej instancji jego związek z łaską, jaki zachodzi w osobie jego twórcy, ściślej, jego podporządkowanie się łasce. Innymi słowy — jeśli człowiek w stanie łaski tworzy dzieła odpowiadające zadaniom, jakie w zakresie stworzenia nakreślił ludzkości Stwórca, dzieła jego są w oczach Bożych nadprzyrodzenie zasługujące, tj. liczą się jako jeden z elementów decydujących w ostatecznym rozrachunku, którego wynikiem będzie zbawienie. Jeśli zaś człowiek tworzy doskonałe świat dzieła w stanie grzechu, nie mają one wartości zasługującej w sensie wymaganym przez cel ostateczny, niemniej jednak stawiają twórcę działającego zgodnie z zadaniami, jakie go nawet w stanie grzechu w zakresie Stworzenia obowiązują, na wyższym szczeblu w hierarchii natury, a tym samym, nie doprowadzając go same przez się nigdy do Boga, czynią go jednak Bogu bliższym. Nie trzeba dodawać, że żaden człowiek nie jest zdolny wiedzieć, czy stan łaski towarzyszy, czy nie towarzyszy konkretnemu twórcy i jego dziełu; żaden też człowiek nie jest zdolny przewidzieć, czy zanim dojdzie do ostatecznego rozrachunku z Bogiem, nie nastąpi stan łaski, który w chwili tworzenia dzieła nie istniał, a który działa nie tylko w przyszłość, ale i w przeszłość, a więc wyposaża w skuteczność dokonane poprzednio a nieskuteczne dotąd dostatecznie w płaszczyźnie zbawienia dzieła.

Ta niewiedza człowieka, dotycząca nadprzyrodzonej płaszczyzny oceny dzieła, nie eliminuje możliwości oceny w płaszczyźnie przyrodzonej, bez odwoływania się do wartości zasługującej w ocenie Boga na zbawienie. Skoro z Objawienia wynika ontologiczny optymizm i skoro każdy byt przez swoje istnienie, a tym bardziej przez stawanie się lepszym w sensie ontologicznym, oddaje chwałę Stwórcy, to wolno sądzić, że każdy skutek działania doskonalącego świat i człowieka w znaczeniu przyrodzonym jest obiektywnie wielbieniem Stwórcy, i to niezależnie od intencji, jakie temu działaniu towarzyszą. Zagadnienie, czy ten sposób wielbienia Boga jest poniżej możliwości człowieka, rozwiązuje fakt, że Bóg sam wyznaczył warunki, które pełnię możliwości człowieka określają, i tylko Bóg sam wie o każdym konkretnym człowieku, czy istotnie pełnię tych możliwości posiada i czy ją w sposób właściwy wykorzystuje. Ocena dokonana w zakresie ludzkich kompetencji jest tu zawsze nieadekwatna. Tylko Bóg wie, kto został powołany do wielbienia Go w sposób nadnaturalny, a kto tylko w granicach ludzkiej natury. Jako jedyne niezawodne kryterium tej oceny pozostaje tylko wyraźnie wskazany przez Stwórcę ontologiczny optymizm. Kryterium to nie może oczywiście pouczyć o zasłudze człowieka w aspekcie jego celu ostatecznego. Jedyna możliwość, jaką ono daje, to możliwość oceniania dzieła ludzkiego, o ile spełnia ono postulat czynienia ziemi poddaną człowiekowi. Wychodząc z tej pewności, trzeba stwierdzić, że wprawdzie na nic przyda się chrześcijaninowi, choćby cały świat posiadł, a na duszy swej poniósł szkodę, ale jednocześnie nie może być dla niego rzeczą obojętną, czy on sam lub ktoś inny świat ten psuje, czy doskonali. Bo świat jest dziełem Stwórcy i jest miejscem, na którym dokonuje się wybór między łaską a grzechem, między potępieniem a szczęśliwością wieczną w Bogu i z Bogiem. Stopień doskonałości świata zaś i zależny od niego stopień doskonałości człowieka nie jest dla tego wyboru rzeczą obojętną. Chrześcijanin powinien mieć pewność, że jeśli doskonali świat, a przez to w sposób mniej lub bardziej bezpośredni ludzką duszę, to wychodzi także naprzeciw łasce ułatwiając jej działanie.

Juliusz Domański

drobiazgowym realizmem, prowadzącym do szerokiego malowidła środowiskowego. Można sobie łatwo wyobrazić, co zrobiłby ze „Śmierci Pazuchina" tak częsty u nas do niedawna reżyser-ilustrator spod znaku „bytowszczyny", nastawiony przede wszystkim na społeczno-obyczajowy obraz epoki. Nużącą, duszną atmosferę zagęściłby prawdopodobnie poza granice wytrzymałości widzów.

Na szczęście ani Rakowiecki nie należy do wymienionego rodzaju reżyserów, ani też drobiazgowy realizm nie wyczerpuje artyzmu Sałtykowa-Szczedrina. Pisarz ten, jeden z czołowych satyryków literatury europejskiej, rozwijał ten sam niezwykle zaraźliwy rodzaj humoru i komizmu, który stanowi o niezmiennej żywotności Gogola. Świadoma, twórcza deformacja prowadziła także u niego do śmiałej karykatury, do obrazu jakiegoś świata z nieprawdziwego zdarzenia, do wrażenia niemalże nonsensu, uogólniającego stosunek pisarza do społecznego zła i zacofania. Sałtykow wymykał się w ten sposób cenzurze, w widzu zaś wywoływał wstrząs, stający się w płaszczyźnie komediowej odpowiednikiem tragicznej Katharsis.

Stojąc wobec tak złożonego scenicznego dzieła, reżyseria Rakowieckiego potrafiła, choć nie całkowicie wyminąć grożące jej niebezpieczeństwa: naturalistycznego opisywactwa i zbyt koszmarnego wykrzywienia rzeczywistości scenicznej. Rakowiecki nie pominął scen rodzajowych komedii (czuliśmy nawet, że sceny te wyraźnie pociągały); potraktował je jednak z ostrożną, nie lękającą się farsowej czy groteskowej przesady, charakterystycznością. Nie zrezygnował też z wywołania na scenie z typowego dla Sałtykowa klimatu makabrycznego amoralizmu i nieludzkości, którym pisarz wyraża protest przeciw swej epoce; klimat ten wydobył jednak przez cynicznie nowoczesną trzeźwą rzeczowość i niemal naturalność, z jaką postacie dają wyraz swym nienaturalnym, nieludzkim uczuciom (córka o ojcu: „że mu się nie znudziło tak żyć").

Tym, co spajało całość przedstawienia, był żywioł śmiechu i zabawy, w jakim skąpał je reżyser, był ton dowcipnego persyflażu. Dodawał on smaku stronie rodzajowej widowiska, rozładowywał zaś nadmiar jego upiorności. Rakowiecki ukazał już w „Ich czworgu" i „Karykaturach" świetne strony swego komediowego talentu reżyserskiego. W „Śmierci Pazuchina" jeszcze potwierdził — w dużej mierze wbrew sztuce, wyjątkowo ponurej i trudnej — swą wyraźną już indywidualność, swój styl komediowy, dobrze nawiązujący do tradycji sceny warszawskiej. Spektakl w Narodowym był znowu bardzo błyskotliwy, było w nim życie i ruch, miał w dowcipnej ciętości swych dialogów wiele cech koncertowego popisu.

Zespół świetnie rozumiał się ze swym dyrygentem. Pierwsze skrzypce grali w nim, najlepiej wydobywając ów lekki, nie nużący ton, właściwy przedstawieniom Rakowieckiego: Janusz Jaroń jako znakomity, intelektualistycznie ujmujący swą rolę, radca Furnaczew, cynicznie obłudny moralista a reboours; Józef Wasilewski jako pełen komicznej [illegible] wany podporucznik, miles gloriosus, bawidamek i pieczeniarz; Henryk Borowski przechodzący w trudnej roli Pazuchina — syna od chytrej pokory deptanego przez wszystkich robaka do pychy depczącego wszystkich, złośliwego i mściwego Spadkobiercy. Nieco inne, pośrednie tony komicznej charakterystyki wydobywali umiejętnie Stanisława Perzanowska jako gospodyni, niezrównane kobieciątko i leciwszy już kociak tamtych czasów; Kazimierz Opaliński pełen przekornej mądrości w roli tytułowej; Władysław Bracki łączący w roli generała ciekawie brutalną bezwzględność z pozorną poczciwością; Janina Niczewska, bardzo nowocześnie ujęta, interesująca radczyni. Ton gawędziarski, nierzadki u Sałtykowa, w zabawny sposób wnosił Edmund Fidler w roli piastuna, najbardziej ludzki z postaci komedii. Epizodyczną rolę kancelisty efektownie zagrał Mieczysław Czechowicz. Reszta zespołu z Wł. Kaczmarskim (interesującym dzięki odmiennemu niż dotąd u tego artysty, nieco groteskowemu ujęciu roli sekciarza) — dobrze dostrajała się do stylu całości.

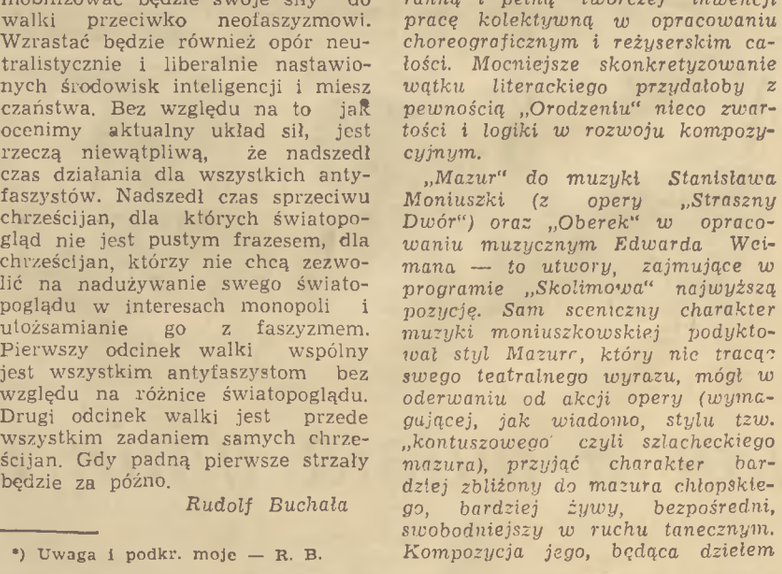

Kazimierz Opaliński w roli Pazuchina

Scenograf Władysław Daszewski przyjemnie zindywidualizował wnętrza odpowiednio do środowisk, odmiennych w każdym z aktów. Ciekawym chwytem przypominającym Brechta ze spektaklu „Matki" było umieszczenie nad pierwszym wnętrzem, mającym coś z atmosfery rodzajowego malarstwa jakiegoś Fiedotowa — niby wizytówki — syntetycznej kompozycji w tle z fabryką, więzieniem i cerkwią, a nad tym orła carskiego — wszystko to w obramowaniu na wzór granicznego kordonu. Scenograf przenosił w ten sposób z dusznej atmosfery mieszczańskiego wnętrza w jakieś szersze plastyczne uogólnienie i syntezę.

Dobrą, wbrew wszelkim trudnościom, robotą reżysera i całego zespołu Teatr Narodowy osiągnął w premierze „Śmierci Pazuchina" niezaprzeczony sukces artystyczny. Mimo całego widocznego wkładu pracy nie mógł jednak sprawić, aby zmienił się on zarazem w sukces repertuarowy. Pod tym względem osiągnięcie Teatru wydaje się sporne.

Wiemy, jak szlachetną choć tragiczną, postacią i jak szczerym humanistą był w swym życiu i twórczości Sałtykow-Szczedrin. Również w „Śmierci Pazuchina" słyszymy jego gwałtowny, rozpaczliwy protest przeciw podłości, przeciw władztwu pieniądza, przeciw powszechnej obłudzie i zakłamaniu. „Zło zostało ukarane, dobro zaś... Ale gdzież tu jest dobro?" — to przejmujące końcowe pytanie jeszcze brzmi nam w uszach, potwierdzając głęboko humanistyczną intencję wielkiego satyryka i moralisty.

A jednak aurę tego dzieła, w którym rozbestwieni ludzie rozszarpują i pożerają się wzajemnie, odczuwamy jako poniżenie naszej godności. Wpływ, jaki ono wywiera, raczej nas beznadziejnie przygnębia niż podnosi. I jakież jest odniesienie utworu do naszej współczesności? Zgoda, że każda epoka zna ludzi kochających ponad wszystko inne — pieniądz, gotowych dlań na wszystko, każda ma swoje podłości, swoją obłudę, swoje zakłamanie. Czy jednak komedia Sałtykow-Szczedrina pomaga nam rozpoznać nasze, własne skrzywienia, czy ma ona ten ładunek ogólnoludzki, który sprawia, że odnajdujemy w niej nas samych? Nie wiem, nie jestem tego pewny. I nie wiem ostatecznie, czy zdołamy się trwale zaprzyjaźnić z tym dziełem wielkiego rosyjskiego pisarza.

Artur Hoffman

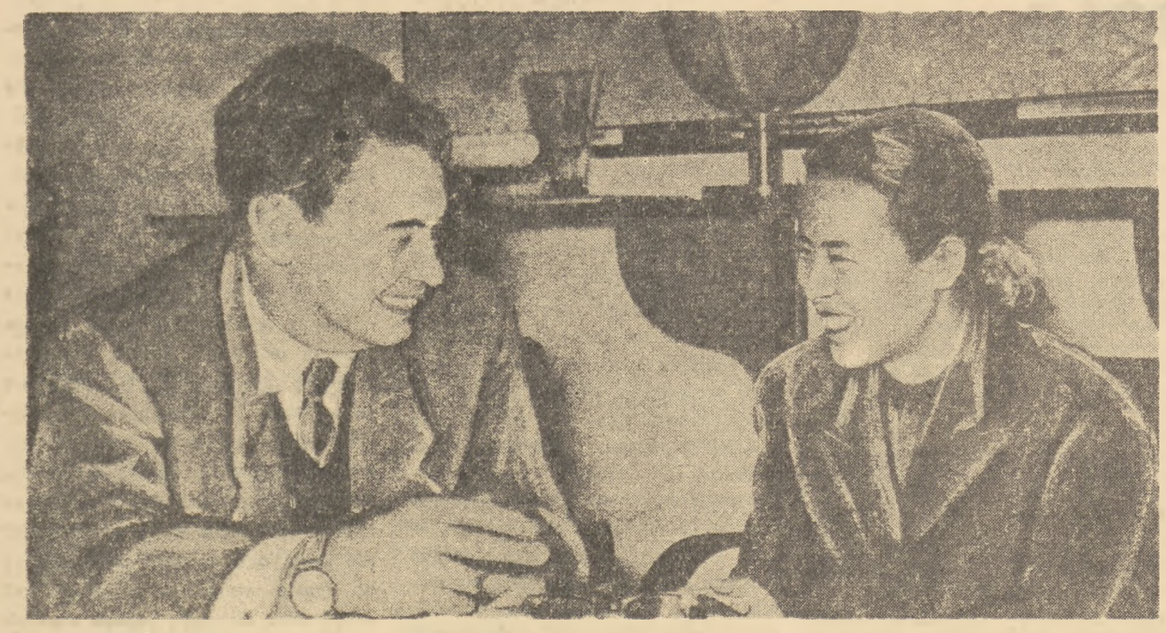

Joris Ivens rozmawia z chińską reżyserką Wu Kuo Yink, z którą obecnie współpracuje

Joris Ivens – „latający Holender"

PRZYDOMEK „latającego Holendra" nie nadano Ivensowi z racji holenderskiego pochodzenia i turystycznych wojażów. Obywatelstwo świata zdobył on sobie w ciągu prawie 30-letniej działalności twórczej w różnych częściach świata. Realizował swoje filmy pod ojczystym niebem, w ZSRR, Belgii, Hiszpanii, Chinach, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Indiach Holenderskich, Bułgarii, Czechosłowacji, Polsce i ostatnio w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Jego azwisko przewija się przez wszystkie podręczniki historii filmu, zaś kopie filmów są dobytkiem wszystkich muzeów filmowych świata. Ale jego filmy są nie tylko etapami walki o rozwój form gatunku dokumentarnego; są one także dokumentami walki — ludzi o lepszy świat, o sprawiedliwość i pokój.

Kiedy Joris Ivens w 1928 roku realizował swój pierwszy eksperymentalny film *Most* — od roku już był współkierownikiem towarzystwa „Film-Liga". Towarzystwo dążąc do stworzenia nowego filmu, filmu dzieła sztuki, w manifeście swoim powoływało się na takie tytuły jak *Wielka parada, Nibelungowie, Pancernik Potiomkin, Matka.* Klasycy kinematografii wyznaczali drogę poszukiwań twórczych. I chociaż krótkometrażowe filmy Ivensa dalekie były jeszcze od realistycznych osiągnięć Eisensteina i Pudowkina, niemniej jednak szlachetne intencje zobrazowania pochwały człowieka leżały u podstaw jego zamierzeń twórczych. *Most, Budujemy* i *Deszcz* były swojego rodzaju poematami filmowymi. Poezja kropli deszczu i ulic miasta, obmywanych potokami ulewy, poezja łuków przęseł i rytmu stalowych konstrukcji dźwięczała w tych filmowych strofach ujęta w twarde karby montażu. W 1930 roku powstał także inny film Ivensa *Symfonia przemysłowa*, który stał się najbardziej symptomatycznym dziełem dla jego ówczesnej twórczości i jednocześnie jednym z najbardziej popularnych jego filmów. Żmudna praca robotników w Zakładach Sprzętu Elektrotechnicznego Philipsa była filmowym poematem na cześć ich wysiłku. Kiedy dziś oglądamy po latach tę rytmiczną symfonię obrazów — to szlachetne intencje twórcy ukazania wyzysku człowieka przez perfidne metody producentów kapitalistycznych dalekie są od klarowności, jakiej nauczyli nas wielcy klasycy filmu i literatury — ale z pewnością nie można w nich odczytywać tylko podziwu dla ornamentyki trybów maszyn i malowniczości światłocieni.

Zresztą z niedostatków artystycznych tych awangardowych poczynań doskonale sobie zdawał sprawę sam twórca i świadomość ta pozwoliła mu bardzo szybko zająć zdecydowanie realistyczne pozycje sztuki. „Moje pierwsze filmy — pisze Ivens — łączą się z dość popularną *Symfonią przemysłową*. Zagadnieniem, które mnie wówczas najbardziej pasjonowało, było ujarzmienie techniki filmowej. Osiągnąłem przez to dość wysoki poziom ekwilibrystyki technicznej, ale w filmach, które zrealizowałem, odczuwałem wewnętrzną pustkę. Miałem to uczucie, które przeżywa zapewne linoskoczek, gdy posuwa się po linie z paroma przedmiotami w rękach, ponad przepaścią areny. Ponieważ wiedziałem, że nie mam pod sobą siatki ochronnej, więc nie spadłem, choć doznawałem zawrotu głowy. Ale owe uczucie pustki przekonało mnie, że nie jest to droga właściwa".

ZAPROSZONY przez filmowców radzieckich, wyjeżdża Ivens w 1931 roku do ZSRR. Tak jak do Hollywood filmowcy jechali po złote runo, tak do moskiewskich ateliers jechali ci wszyscy, którzy twórczością swą chcieli służyć sprawie postępu i szukali swobody wypowiadania się. Pracował tam już nad reportażem z Odessy Francuz Jean Leds, kręcił Hans Richter, skranizował powieść Anny Seghers *Bunt rybaków* niemiecki reżyser Erwin Piscator. Joris Ivens zrealizował *Pieśń bohaterów* — film obrazujący gigantyczny wysiłek młodzieży radzieckiej przy budowie Magnitogorska. *Pieśń bohaterów* formą swą przypomina z pewnością poemat o zapale twórczym, o żywiołowym wprost poświęceniu młodzieży sprawie budownictwa socjalistycznego, ale użyta tu metaforyka obrazowa była jak najbardziej realistyczna. Film, był lekcją uczciwości artystycznej dla holenderskiego reżysera.

Pełen twórczego zapału wraca Ivens do kraju, a następnie udaje się do Belgii, do zagłębia węglowego Borinage, gdzie realizuje swój wielki film o strajku górników. Film ten, realizowany wspólnie z belgijskim reżyserem Henri Storch, miał ukazać okropne warunki bytowe robotników. W rozrzuconym wśród niskich pagórków miasteczku, o posępnych i wyblakłych ścianach domów, o trawie, która dawno utraciła zieleń, gdzie nigdy nie zagląda słońce, a białe są tylko kwiaty wieńców żałobnych, powstał film, który osiągnął porywającą wprost szczerość i bezpośredniość. Nie było tu nic ze sztuczności. Technika była niedostrzegalna i styl filmu charakteryzował się urzekającą prostotą. Większość jego scen z manifestacji strajkowych i walki robotników z policją kręcona była z ukrycia. Wstrząsająca prawda przebijała z tych dokumentów zarejestrowanych kamerą w 1933 roku.

Ivens powraca do kraju aby pracować nad rozpoczętym filmem o osuszeniu Znidersee. Reżyser ukazał tu z jednej strony nadludzką wprost pracę robotników nad osuszeniem ziemi, a z drugiej pochód głodu idący przez świat. Łany pszenicy krzyżowały się z kolumnami manifestujących za pracą. Gdy ludzie żądali chleba — giełdy odpowiadały niezmiennie: topić zboże! Chleb jest zbyt tani! Ale robotnicy Holandii uporczywie walczyli o wydarcie morzu ziemi, aby można było na tej nowej ziemi siać zboże. Film ten zatytułowany *Nowa ziemia* w triumfalnym pochodzie szedł przez świat. Cenzura wielu krajów zakazywała wyświetlania go, a francuski minister powiedział Ivensowi z rozbrajającą szczerością, że wprost lęka się buntu przedmieść.

„ZDAWAŁO się więc — mówił w wiele lat później Ivens — że cel, do którego dążyłem, zaktywizowania mas, wezwania narodów i przede wszystkim mego kraju do czynu, że cel ten został osiągnięty. Do dziś jestem zdania, że jeśli chodzi o te zamierzenia, to został on istotnie osiągnięty. A jednak i tutaj odczułem po pewnym czasie, że filmowi memu czegoś brakuje... Brak tego, co nazywają Francuzi — „sentiment humain". Brak ludzkiego uczucia, jeśli chce się dosłownie przetłumaczyć te słowa, choć są one w moim języku, holenderskim, raczej nieprzetłumaczalne".

Owego „sentiment humain" szuka Ivens na polach walczącej Hiszpanii. W 1936 roku pojechał ze swoim rodakiem Janem Ferno, operatorem, by ukazać heroizm ludu hiszpańskiego, walczącego o wolność, ukazać prawdę w tej walce zohydzonej przez faszystowskie kroniki. Film ukazywał współzależność między walką na froncie, a pokojowym trudem chłopów, uprawiających nareszcie własną ziemię. Aby nadać filmowi jak najbardziej emocjonalny charakter wprowadził Ivens w dramaturgii sceny „osobiste", które uwydatnią główną linię filmu, dodając mu głębi i uczucia.

„Jeśli chodzi o ten film — mówi Ivens — to starałem się dać w nim wszystko z siebie, syntezę wszystkich elementów mej sztuki, aby ukazać w pełni cała wielkość owego „sentiment humain", który ożywiał walczący lud hiszpański. Starałem się dać najbardziej bezpośredni reportaż, na jaki było mnie stać, samo życie pisało scenariusz tego filmu. Ciężko przeżyłem klęskę hiszpańską, tak jak gdyby to była moja własna klęska. Odpowiedziałem na nią natychmiastowym wyjazdem do Chin, gdzie wraz z Janem Ferno pracowaliśmy nad dużą kroniką filmową, w której usiłowaliśmy odtworzyć ciężką, bohaterską walkę narodu chińskiego z japońskim najeźdźcą. Film nazywał się „400 milionów". Wyjechałem pokrzepiony na duchu, zrozumiałem, że tak jak nie poddali się przemocy faszystów japońskich demokraci chińscy, tak nie ulegną, mimo chwilowej klęski, terrorowi swoich rodzimych faszystów — republikanie Hiszpanii".

KOLEJNY etap swej twórczości rozpoczął Ivens w 1939 roku w USA, gdzie na zlecenie ówczesnego ministra rolnictwa, Henry Wallace, realizował film o elektryfikacji farm pt. „Władza i kraj". W tym właśnie filmie przekroczył Ivens granice ścisłego dokumentaryzmu i przybliżył się do granic filmu fabularnego, filmu ze skonstruowaną literacko akcją. Pokusił się o stworzenie rodzaju pośredniego, który nie przestaje być filmem dokumentarnym, ale wprowadza do reportażu inscenizowane sceny i posługuje się ludźmi z tłumu jak aktorami, instruuje ich. Przeplatając relację dokumentarną wątkami osobistymi, bliskimi widzowi, zmusza go w ten sposób do przemyślenia poruszonych problemów, do odniesienia ich do siebie.

Był nawet Ivens w Indiach Holenderskich, gdzie zaangażowano go na kierownika powstającego tam ośrodka filmowego. Wkrótce jednak, zorientował się, że chodzi tu o wykorzystanie go dla produkcji filmów gloryfikujących politykę kolonialną — zerwał umowę i w nielegalnych warunkach nakręcił film „Tu mówi Indonezja" (1946), ukazujący strajk marynarzy indonezyjskich walczących o wolność swej ojczyzny. Ivens jest zawsze w pierwszych szeregach ludzi walczących o swe prawa, o szczęście.

W roku 1948 Ivens zwiedził Kraje Demokracji Ludowych. Budujące się tam nowe życie podsunęło mu temat do filmu *Pierwsze lata* (1949). Film składa się z trzech części, z których każda poświęcona jest innemu krajowi: Polsce, Czechosłowacji i Bułgarii. I tu, dla wyrażenia treści nowego życia powstającego na nowych, demokratycznych zasadach Ivens szukał swoistego wyrazu artystycznego. Dla każdego z epizodów starał się znaleźć odrębny styl dokumentarny wynikający z odrębności narodowych każdego z krajów. A więc styl psychologiczny, realizm romantyczny — dla polskiej sekwencji, liryka w części poświęconej Bułgarii, zaś styl reportażu ekonomicznego — dla Czechosłowacji.

Po ukończeniu realizacji *Pierwszych lat* Ivens był przez jakiś czas wykładowcą w Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi, a następnie wraz z Jerzym Bossakiem zrealizował w 1951 roku film-reportaż z pamiętnego Warszawskiego Kongresu Obrońców Pokoju. I tu Ivens teoretyk praktykował, i dowiódł, że nawet film o tak pozornie niefotogenicznym temacie jak sala zebraniowa, uczynić można atrakcyjny i emocjonalny. Któż z widzów tego filmu nie pamięta np. dramatycznej sekwencji z przemówienia Koreanki Pak-Den-Ai przeplatanego bombardowaniem koreańskiego miasta?

W roku 1952 Ivens realizował dwa filmy. Pierwszy — w Polsce, tematem jego był V Wyścig Kolarski Praga — Berlin — Warszawa; drugi zaś w Berlinie podczas Festiwalu Młodzieży i Studentów. Obydwa filmy: *Wyścig Pokoju i Naprzód młodzieży świata,* miały charakter sprawozdawczy.

OSTATNIM filmem zrealizowanym przez Ivensa jest *Pieśń rzek.* Realizował go w NRD. Jest to film montażowy, którego tematem jest światowy ruch związkowy: ukazuje walkę o prawa ludzi do szczęśliwego życia w kilku częściach świata — od Jang-Tse poprzez Wołgę do Misissipi. Pięć wielkich rzek pięciu kontynentów — to symbolicznie pięć frontów walki o sprawy prostych ludzi.

Nadana Ivensowi w bieżącym roku nagroda Światowej Rady Pokoju jest honorowym aktem potwierdzenia obywatelstwa świata, który zdobył sobie wieloletnią służbą ideałom walczącej sztuki i wiernością wobec swego artystycznego credo: „trzeba być uczciwym: w polityce, w życiu prywatnym, w sztuce, ponieważ filmy moje ogląda od dwustu do trzystu milionów ludzi, więc staram się zawsze o tym nakazie uczciwości pamiętać..."

J. M.

Czechosłowaccy laureaci

KIEDYŻ do nas przyjedzie jakaś zagraniczna sława literacka i dostaniemy nareszcie dobrą powieść o naszej polskiej współczesności..." wzdychał pewien znany krytyk w związku z wyjazdami naszych pisarzy za granicę i zapowiedziami wydawniczymi w rodzaju: XY przygotowuje powieść o współczesności Chin Ludowych, YX natomiast w Wietnamie, gdzie pisarze ci bawią na zaproszenie takiego a takiego komitetu...

Przypomniałem sobie to paradoksalne stwierdzenie, nie wiem, czy dosłownie tu przytoczone, przeglądając odznaczone państwowymi nagrodami utwory pisarzy czeskich i słowackich. I przypomniałem nie dlatego, by i w Czechosłowacji nie dostawało dobrych książek o współczesności, ale że i tam wśród wyróżnionych utworów znalazł się tom „Śpiewające Chiny" Marii Majerowej; tom opowiadań i reportaży z podróży autorki „Syreny" do kraju sześciuset milionów.

Zresztą znakomita ta książka znalazła się w równie doborowym, a mówiącym o aktualnych dniach i pracach, towarzystwie.

Wśród tegorocznych bowiem laureatów Nagrody Państwowej Klementa Gottwalda, przyznawanej uroczyście w związku z dziesięcioleciem wyzwolenia znaleźli się w Hiszpańskiej Sali praskiego Zamku: Wacław Rzezacz, Maria Pujmanowa, Katarina Lazarova, Włodzimierz Minacz, Jarosław Seifert, Karol Ptacznik oraz Eryk A. Saudek.

Majerova, Pujmanowa i Rzezacz najmniej chyba potrzebują słów rekomendacji. Utwory tych pisarzy znalazły wielu wielbicieli. Na półkach naszych bibliotek stoją egzemplarze „Ballady górniczej" i „Najpiękniejszego świata", „Ludzi na rozstajach" i „Przeczucia", „Krawędzi" i „Czarnego światła".

Niedługo może w Państwowym Instytucie Wydawniczym lub „Czytelniku" pojawią się przekłady nagrodzonych obecnie książek: „Bitwy" Rzezacza, „Pragi" Pujmanowej i „Śpiewających Chin" Majerovej. „Bitwa" to dalszy tom „Powrotu". Znajdujemy tu kontynuację dziejów mieszkańców sudeckiej wioski, którzy po latach faszystowskiej okupacji wracają w strony rodzinne. W utworze tym ukazał Rzezacz, na przykładzie prostej codziennej pracy prostych ludzi, komunistów i bezpartyjnych, nieodwracalność biegu historii, dojrzewanie i krzepnięcie nowego.

Nowy zbiór wierszy poświęciła Maria Pujmanova — Praga bohaterem jej poezji jest naród czeski, widzący we wspaniałej historii nadwełtawiańskiej stolicy siebie, twórcę jej monumentalnego piękna architektury kościołów, klasztorów i bibliotek, uniwersytetu i tysiąca nowoczesnych gmachów, starożytnego mostu Karola i wytwornych autostrad.

Powieść Katarzyny Lazarovej „Gniazdo os" i tom opowiadań Włodzimierza Minacza „Nakrawędzi" to najwybitniejsze utwory młodej literatury słowackiej. Ukazują one trudności walki starego z nowym; starego które, odziedziczone po warunkach zacofania gospodarczego międzywojennej Słowacji — rosło w nieufność, sprzeciw, broniło się, sprzymierzało ze wstecznictwem. Ukazują, że nowe życie nie rodzi się łatwo i ukazują to niebanalnie.

Niespodzianką jest nagrodzona powieść Karola Płacznika „Rocznik dwadzieścia jeden". Nieznany nam bliżej autor stworzył świetną książkę o solidarności walki z faszyzmem w latach okupacji, o bohaterstwie i wierze w zwycięstwo. Wyróżnienie książki debiutanckiej jest świadectwem jej dojrzałości, dojrzałości warsztatu młodego prozaika.

Uznaniem dla kunsztu translokatorskiego było nagrodzenie przekładów Szekspirowskiego „Romea i Julii" i „Kupca Weneckiego" pióra Eryka A. Saudka.

Na koniec celowo zostawiłem wyróżniony nagrodą drugiego stopnia tom Jarosława Seiferta „Maj", zbiór wspaniałej liryki kameralnej poświęconej matce. Nagrodzenie Jarosława Seiferta, poety miękkich lirycznych tonów, jest świadectwem przejścia w epokę dojrzałych sądów.

A P

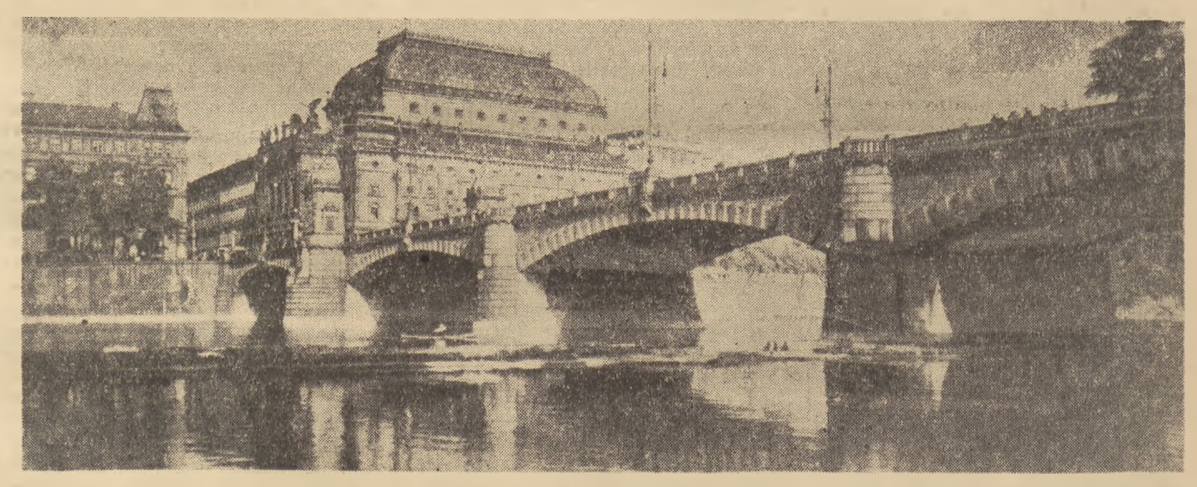

Widok na Pragę

Jugosławia witała mnie wiosną

CZY tym razem „zagości" pani w swym domu nieco dłużej?...

— Jeszcze wyjazd do Pragi, gdzie mam nagrać na płyty koncert e-moll Chopina, a potem siedzę już w kraju całe lato — odpowiada z uśmiechem Halina Czerny - Stefańska. Ale istotnie, muszę panu przyznać rację: cały ostatni rok byłam w domu tylko „gościem"! Najpierw koncerty w Argentynie, potem w Niemczech zachodnich, w Niemczech wschodnich, w Związku Radzieckim, teraz znów — Jugosławia...

— O, właśnie! Ogromnie jesteśmy ciekawi pani wrażeń z tego ostatniego tournée: stało się ono przecież, w pewnym sensie, pierwszym ogniwem w nawiązaniu wymiany kulturalnej pomiędzy naszymi krajami...

— Wrażenia te są jak najmilsze! Choćby ze względów czysto zewnętrznych: Gdy wyjeżdżałam lub raczej wylatywałam w drugiej połowie kwietnia z Warszawy, żegnały mnie przymrozki i śniegi. Belgrad witał bujną wiosną południa. Upalne słońce, zieleń, kwiaty! Ale co najważniejsze — równie „gorące" przyjęcie spotkało mnie ze strony jugosłowiańskiej publiczności. Po koncercie liczne bisy, kosze kwiatów, rozdawanie autografów — słowem to wszystko, co stanowi zewnętrzny, ale jakże dla artysty ważny objaw powodzenia.

— Po tylu zagranicznych występach posiada pani niewątpliwie dużą skalę porównawczą. Jak mogłaby pani scharakteryzować publiczność jugosłowiańską?

— Łączy ona gorący temperament południowców z umiarem, właściwym dla wyrobionego słuchacza. Bo też życie muzyczne rozwija się tam bujnie: odbywają się w Belgradzie liczne spektakle operowe, koncerty zagranicznych muzyków; tak np. koncertowała tam ostatnio znana pianistka francuska — Bruchollerie. Toteż niełatwo pozyskać uznanie jugosłowiańskiej publiczności. Wyznam szczerze, że podczas pierwszego recitalu moja gra została przyjęta początkowo z pewną rezerwą i chłodem. Dopiero po kilku utworach udało mi się publiczność — jak to się mówi — „porwać"... I wtedy objawy uznania przybrały formę właściwą dla żywego usposobienia Jugosłowian: oklaskom towarzyszyło wymachiwanie rękami, okrzyki, wołanie o bisy. Nasza publiczność jest na pewno bardziej „flegmatyczna"...

— Zresztą zagadka chłodnej początkowo reakcji publiczności wyjaśniła się nazajutrz. Gdy kupowałam jakieś drobiazgi w jednym z pięknych sklepów Belgradu, podeszła do mnie nieznajoma, miło uśmiechnięta pani: „Halina Stefańska, prawda? Słyszałam panią wczoraj na koncercie!". Nawiązała się serdeczna rozmowa, podczas której mogłyśmy się doskonale zrozumieć, gdyż język jugosłowiański jest bardziej zbliżony do naszego, niż np. czeski. I właśnie z tej rozmowy dowiedziałam się, że publiczność jugosłowiańska przywykła do interpretacji Chopina — powiedzielibyśmy w Polsce — bardziej emfatycznej, nieco zmanierowanej. Stąd początkowe zaskoczenie moją grą, którą owa nieznajoma określiła jako „pełną skupienia, głęboką interpretację muzyki Chopina".

— Z podobnymi określeniami można się spotkać w jugosłowiańskich recenzjach z pani koncertów. Kilka z nich mam przed sobą: ot, np. dziennik „Borba" pisze o pani, jako o artystce... „która swą wiedzą i kulturą stylu do dna zgłębiła walory treściowe muzyki Chopina..."

— Trochę żenujące mówić o sobie samej, ale skoro już poruszyliśmy ten temat, muszę się pochwalić pewnym spotkaniem z recenzentem. Po mym koncercie w Lublanie podszedł do mnie starszy, niepozornie wyglądający pan i składając gratulacje, powiedział, że „dawno nie słyszał takiej poezji na fortepianie". Mój impresario wyznał mi potem, że był to najsurowszy krytyk, „postrach" muzyków.

— Wspomniała pani o koncercie w Lublanie — a zatem grała pani nie tylko w Belgradzie?

— Właściwie, jadąc do Jugosławii, miałam zapewniony jedynie koncert w stolicy kraju. Ale dzięki sukcesowi tego pierwszego recitalu, a także dzięki naprawdę doskonałej sprawności „Serbskiego Biura Koncertowego" — ilość moich występów powiększyła się znacznie. Między innymi grałam w uroczej Lublanie, zwanej „jugosłowiańskim Krakowem" ze względu na dużą ilość pięknych zabytków oraz młodzieży akademickiej.

Pozostałe jednak koncerty odbyły się w Belgradzie. Były to dwa chopinowskie recitale w sali Filharmonii (sala ta na 1300 miejsc, wypełniona była po brzegi) oraz jeden recital w Konserwatorium belgradzkim; ten ostatni składał się z utworów mieszanych, a więc Bach, Mozart, Beethoven, Zarębski i inni...

Poza tym miałam dwa występy podczas cocktailów urządzonych przez ambasadę PRL oraz ambasadę Związku Radzieckiego, która podejmowała bawiącego w tym czasie znakomitego radzieckiego śpiewaka — Pirogowa. W przyjęciu wydanym przez ambasadę polską, brali udział przedstawiciele wszystkich placówek dyplomatycznych Belgradu.

— Czy tak liczne koncerty, przyjęcia, cocktaile — zostawiały nieco wolnego czasu na zapoznanie się z muzycznym życiem Jugosławii?

— Istotnie, czasu tego nie było wiele, tym bardziej, że Jugosławię opuściłam już pod koniec kwietnia, zatrzymując się jeszcze w Budapeszcie; tutaj oglądałam pięknie zorganizowany obchód pierwszomajowy, tutaj też — w budapeszteńskiej sali Bartoka — dałam w pierwszych dniach maja koncert pożegnalny. Niemniej jednak starałam się krótkie dni pobytu w Jugosławii wykorzystać jak najlepiej. Podziwiałam np. piękne głosy, będąc w belgradzkiej operze na „Balu Maskowym" Verdiego; zaimponowały mi zwłaszcza cudowny baryton i mezzosopran.

Słyszałam również w belgradzkim konserwatorium koncert laureatów międzyszkolnego konkursu muzycznego. Zrobił on na mnie duże wrażenie, gdyż stanowił doskonały sprawdzian wysokiego poziomu szkolnictwa muzycznego w Jugosławii. Spodobała mi się m. in. gra kilku młodych flecistów i obojstów, jednej z pianistek, która znakomicie wykonała „Pietruszkę" Strawińskiego; niektórym z młodych muzyków rozdałam przywiezione z Polski nuty: kompozycje Wiechowicza, Szeligowskiego, Bacewiczówny... Ale znów najlepiej podobali mi się wokaliści: tak jak w belgradzkiej operze, usłyszałam w Konserwatorium naprawdę znakomitych śpiewaków. Warto byłoby zaprosić do Polski kilku z nich!

— Czy słyszała pani o projektach wizyty jugosłowiańskich muzyków?

— Sporo się o tym mówiło podczas przyjęcia wydanego z okazji przyjazdu Pirogowa i mam przez belgradzkie biuro koncertowe. Projektowane są np. w najbliższym czasie koncerty w Belgradzie znakomitej pianistki węgierskiej Ani Fischer, oraz dobrze nam już znanego — Gillelsa. A tak dla nas ważne kontakty kulturalne polsko-jugosłowiańskie? Po miłej dla mnie „inauguracji" tych kontaktów, mam nadzieję, że będą się one rozwijały jak najpomyślniej. Sądzę, że niejeden polski muzyk otrzyma zaproszenie do Jugosławii, i na odwrót: niejeden muzyk jugosłowiański będzie nas rewizytował z gościnnymi występami w Polsce. Już z góry się na to cieszę!

Rozmowę przeprowadził:
Stef.